

STEPHEN KING

COLORADO KID



Sperling & Kupfer

Stephen King

Colorado Kid

Przełożyła Maciejka Mazan

Uznawszy, że z dwóch starsuszków, stanowiących cały personel „Weekly Islandera”, nie da się wydobyć nic ciekawego, dziennikarz z „Boston Globe” spojrzął na zegarek, oznajmił, że jeśli się pośpieszy, zdąży na powrotny prom o wpół do drugiej, podziękował za poświęcony mu czas, rzucił na obrus pieniądze, przycisnął je solniczką, by nie zwiął ich porywisty wiatr od morza, i zbiegł po kamiennych schodach z patio „The Grey Gull” ku Bay Street i małemu miasteczku w dole. Młodą kobietę, siedzącą pomiędzy dwoma starsuskami, ledwie zauważył – nie licząc paru pobieżnych zerknięć na jej biust.

Kiedy dziennikarz z „Globe” znikł, Vince Teague wyjął spod solniczki banknoty – dwie pięćdziesiątki. Z wyrazem nieklamanej satysfakcji schował je do kieszeni starej, lecz praktycznej tweedowej marynarki.

– Co robisz? – spytała Stephanie McCann, wiedząc, że Vince uwielbia szokować jej, jak to określał, „młode ciało” (co zresztą robili obaj), ale nie potrafiąc opanować wstrząsu.

– A jak to wygląda? – Vince robił wrażenie jeszcze bardziej zadowolonego niż kiedykolwiek. Wyglądził kieszeń i przełknął ostatni kęs kanapki z homarem. Potem musnął usta papierową serwetką i zręcznie złapał podawany do homarów plastikowy śliniaczek dziennikarza, kiedy kolejny silniejszy podmuch pachnącego solą wiatru usiłował unieść go ze sobą. Rękę miał niemal groteskowo powykrecaną artretyzmem, a mimo to całkiem zwinną.

– Jakbyś zabierał pieniądze, które zostawił pan Hanratty

– Ano tak. Masz dobre oko, Steff – zgodził się Vince i mrugnął do drugiego mężczyzny przy stole.

Był nim Dave Bowie, który wyglądał na rówieśnika Vince’a Teague’a, ale w rzeczywistości był od niego młodszy o dwadzieścia pięć lat. Wszystko zależy od wyposażenia, które losujesz w tej loterii, mawiał Vince; korzystasz z niego, aż się rozpadnie, łatając je w miarę potrzeb; był pewien, że nawet dla tych, którzy dożywają setki – na co i sam liczył – wszystko mija jak jeden słoneczny dzień.

– Ale dlaczego to robisz?

– Boisz się, że prysnę po cichu i Helen będzie musiała za mnie zapłacić?

– Nie... jaka Helen?

– Helen Hafner, która nas obsługuje. – Vince skinął głową w głąb patio, gdzie otyła kobieta koło czterdziestki zbierała talerze. – Bo takie zasady ma Jack Moody, który akurat jest właścicielem tego wspaniałego przybytku gastronomicznego, tak jak i jego ojciec, jeśli cię to obchodzi...

– Obchodzi – powiedziała dziewczyna.

David Bowie, pełniący funkcję dyrektora finansowego „Weekly Islandera” mniej więcej tyle

samo lat, ile liczyła sobie Helen Hafner, pochylił się i położył swoją masywną rękę na ładnej, młodej rączce Stephanie.

– Wiem. Vince’a też to obchodzi. Dlatego wykonuje taką akrobatykę parterową, żeby ci to wyjaśnić.

– Cóż, zaczęło się szkolenie – powiedziała z uśmiechem.

– Właśnie. A co jest miłym gestem ze strony starców, czyli nas?

– Że zadajecie sobie trud i uczycie ludzi, którzy chcą się uczyć.

– Zgadza się – powiedział Dave i oparł się wygodnie. – Miły gest. – Nie miał marynarki ani kurtki, tylko stary zielony sweter.

Był sierpień i Stephanie wydawało się, że pomimo wiatru od morza na patio „Grey Gull” jest całkiem ciepło, ale wiedziała, że obaj panowie odczuwają nawet najdelikatniejszy powiew. W wypadku Dave’a było to trochę dziwne – miał tylko sześćdziesiąt pięć lat i, lekko licząc, jakieś piętnaście kilo nadwagi. Ale Vince Teague, choć mógł wyglądać najwyżej na siedemdziesięciolatka (i to sprawnego siedemdziesięciolatka, mimo powykręcanych dłoni), tego lata skończył dziewięćdziesiątkę i był chudy jak patyk. Pani Pinder, pracująca w „Islanderze” na pół etatu jako sekretarka, nazywała go „faszerowanym sznurkiem”. Na ogół z pogardliwym parsknięciem.

– Zasady w „Grey Gull” są takie, że to kelnerki są odpowiedzialne za swoje stoliki aż do chwili zapłacenia rachunku – powiedział Vince. – Jack mówi to wszystkim kobietom, kiedy szukają u niego pracy, żeby potem nie jęczały, że nie znały reguł.

Stephanie powiodła wzrokiem po patio, które dwadzieścia po pierwszej było do połowy wypełnione, a potem zajrzała do głównej sali, wychodzącej na Moose Cove. Niemal wszystkie stoliki były nadal zajęte, a wiedziała, że od Dnia Poległych do końca lipca na zewnątrz aż do trzeciej będzie stać kolejka. Innymi słowy, kontrolowane piekło. Wymaganie, żeby każda kelnerka miała na oku wszystkich klientów, jednocześnie zasuwając jak mały samochódzik z tacami gotowanych homarów i małży...

– To jakby nie... – Urwała, zastanawiając się, czy ci dwaj starsi panowie, którzy pewnie zaczęli wydawać gazetę w czasach, gdy nikt nie słyszał o czymś takim jak minimalna płaca, jej nie wyśmieją.

– „Fair” może być tym słowem, którego szukasz – rzucił sucho Dave, biorąc kanapkę z homarem. Ostatnią, jaka została w koszyku.

„Fair” zabrzmiało jak „faje”, co mniej więcej rymowało się z „ayuh”, jankeskim słowem, które zdawało się oznaczać jednocześnie „tak” i „czyżby?”. Stephanie pochodziła z Cincinnati w Ohio i kiedy po raz pierwszy przybyła na wyspę Moose-Lookit, by odbyć staż w „Weekly Islanderze”, uznała, że się nie nadaje... co w tutejszej wymowie także rymowało się z „ayuh”. Jak mogła się czegokolwiek nauczyć, skoro rozumiała jedno słowo na siedem? A jeśli będzie ich

prosić, żeby powtórzyli, niewiele czasu upłynie, zanim zostanie uznana za skończoną idiotkę (co na Moose-Lookit oczywiście wymawiało się „idżitkę”).

Po czterech dniach czteromiesięcznego podyplomowego programu Uniwersytetu Ohio była bliska rzucenia wszystkiego; wtedy to pewnego popołudnia Dave wziął ją na bok i powiedział:

– Tylko nie pękaj, Steffi, to ci samo przyjdzie.

I przyszło. Niemal z dnia na dzień tutejszy akcent stał się zrozumiały. Tak jakby miała w głowie bańkę, która nagle jakimś cudem pękła. Prawdopodobnie mogłaby tu mieszkać do końca życia i nigdy nie nauczyć się mówić tak, jak oni, ale zrozumieć ich? A i owszem, ayuh.

– Chodziło o „fair” – zgodziła się.

– Ten wyraz nie istnieje w słowniku Jacka Moody’ego, chyba że chodzi o sport – oznajmił Vince, po czym dodał, nie zmieniając tonu: – Odłóż tę kanapkę, człowieku, robisz się gruby jak prosiak, słowo daję, gruby – gruby – gruby.

– Zdawało mi się, że nie jesteśmy małżeństwem – odparł Dave i odgryzł następny kęs. – Nie możesz jej wyjaśnić, co ci chodzi po głowie, nie jazgocząc na mnie?

– Ale się odszczekuje – odparł Vince. – I nikt mu nie powiedział, że nie mówi się z pełnymi ustami. – Przełożył ramię przez oparcie krzesła, a wiatr znad roziskrzonego oceanu odgarnął mu białe włosy z czoła. – Steffi, Helen ma troje dzieci od sześciu do dwunastu lat i męża, który wziął tyłek w troki i ją zostawił. A ona nie chce opuścić tej wyspy i zarabia na życie – ledwie – pracując w „Grey Gull”, bo lata przynoszą więcej zysków niż zimy szkód. Nadążasz?

– Tak, zdecydowanie – powiedziała Stephanie i właśnie w tej chwili pojawiła się wspomniana Helen. Stephanie zaważyła, że kobieta nosi grube pończochy, które nie całkiem tuszują żyłaki, a pod oczami ma ciemne podkowy.

– Cześć, Vince, Dave – powiedziała i skinęła głową ładnej dziewczynie, której imienia nie знаła. – Wasz przyjaciel uciekł. Na prom?

– No – odparł Dave. – Odkrył, że musi wracać do Bostonu.

– Ayuh? Skończyliście?

– Jeszcze trochę posiedzimy – powiedział Vince – ale przynieś nam rachunek, kiedy zechcesz. Dzieciaki w porządku?

Helen Hafner skrzywiła się.

– W zeszłym tygodniu Jude wypadł z domku na drzewie i złamał rękę. Ale się darł! Mało nie umarłam ze strachu.

Obaj spojrzeli na siebie... i parsknęli śmiechem. Potem szybko spowaźnieli, zawstydzeni, a Vince pośpieszył z wyrazami współczucia, ale nie zamydlili nimi oczu Helen.

– Mężczyźni mogą się śmiać – zwróciła się do Stephanie ze zmęczonym, ironicznym uśmiechem. – Wszyscy wypadają w dzieciństwie z domków na drzewach i łamią sobie ręce, i wszyscy pamiętają, jacy to z nich byli mali piraci. Ale żaden nie pamięta, jak mama wstawiała

w środku nocy, żeby im podać aspirynę. Przyniosę rachunek. – Odeszła ciężko w przydeptanych trampkach.

– Dobra dusza – powiedział Dave, któremu starczyło przyzwoitości, by przybrać trochę zawstydzoną minę.

– Zgadza się – dodał Vince – a jeśli się po nas przejechała, to pewnie zasłużyliśmy. A tymczasem słuchaj, Steffi, jak to będzie z tym obiadem. Nie wiem, ile kosztują w Bostonie trzy kanapki z sałatką z homara, jeden cały homar z małżami i cztery herbaty z lodem, ale ten wielki pan dziennikarz zapomniał, że mieszkamy w miejscu, które ekonomista mógłby nazwać „źródłem surowca”, i rzucił na stół stówkę. Jeśli Helen przyniesie nam rachunek, na którym będzie więcej niż pięćdziesiąt pięć, z radością ucałuję świnię. Nadążasz?

– Nadążam – powiedziała Stephanie.

– A teraz, kiedy ten gość z „Globe” będzie wracać promem na ląd, zanotuje sobie w książce wydatków: „obiad, «Grey Gull», wyspa Moose-Lookit, oraz cykl «Niewyjaśnione tajemnice»,,, i jeśli jest uczciwy, to zapisze sto dolarów, ale jeśli ma we krwi odrobinę łajdactwa, to zapisze sto dwadzieścia i za tę nadwyżkę zabierze swoją dziewczynę do kina. Łapiesz?

– Tak – powiedziała Stephanie i spojrzała na niego z naganą, dopijając mrożoną herbatę. – Uważam, że jesteś bardzo cyniczny.

– Nie, gdybym był bardzo cyniczny, powiedziałbym sto trzydzieści, to rzecz pewna. – Tu Dave parsknął śmiechem. – Tak czy tak, zostawił stówkę, a to co najmniej o trzydzieści pięć dolarów za dużo, nawet jeśli dodamy dwadzieścia procent napiwku. Więc wziąłem jego pieniądze. Kiedy Helen przyniesie rachunek, podpiszę go, bo „Islander” ma tu otwarte konto.

– I mam nadzieję, że dasz większy napiwek niż dwadzieścia procent – dodała Stephanie – skoro znasz sytuację domową Helen.

– I tu się mylisz – oznajmił Vince.

– Naprawdę? A to dlaczego?

Spojrzał na nią cierpliwie.

– A jak myślisz? Bo jestem skąpy? Sknerus jak każdy jankes?

– Nie. Nie wierzę w to tak samo, jak w to, że czarni są leniwi, a Francuzi przez cały dzień myślą tylko o seksie.

– No to rusz mózgiem. Bozia cię nie skrzywdziła.

Stephanie skupiła się, a oni przyglądali się jej z zainteresowaniem.

– Ona to uzna za jałmużnę – powiedziała wreszcie.

Vince i Dave wymienili rozbawione spojrzenia.

– No co? – spytała.

– Znowu leniwi czarni i seksowni Francuzi, co, żabciu? – powiedział Dave, z premedytacją podkreślając swój akcent, który zmienił się w karykaturalne zaciąganie. – Tylko teraz chodzi

o dumną i biedną kobietę, która nie przyjmuje jałmużny.

– To znaczy, że by wzięła – powiedziała Stephanie z uczuciem, że coraz bardziej zapuszcza się na socjologiczne bezdroża. – Dla dzieci, jeśli nie dla siebie.

– Facet, który nam postawił obiad, był przyjezdny – oznajmił Vince. – A według Helen Hafner, przyjezdni sra... rzucają pieniędzmi na prawo i lewo.

Stephanie, rozbawiona jego nagłą delikatnością, spojrzała najpierw na patio, na którym siedzieli, potem przez szybę do wnętrza restauracji. I zobaczyła coś interesującego. Wielu – może nawet większość – klientów siedzących na świeżym powietrzu pochodziło stąd, podobnie jak większość obsługujących ich kelnerek. Wewnątrz siedzieli letnicy, tak zwani niewyspiarze, a wszystkie obsługujące ich kelnerki były młodsze. I ładniejsze. Jak również nietutejsze. Letnia pomoc. I nagle zrozumiała. Niesłusznie rzucała się od razu na socjologiczne głębie. To było dużo prostsze.

– Kelnerki dzielą się napiwkami, tak? – spytała. – W tym rzecz?

Vince wycelował w nią palec jak pistolet.

– Bingo.

– Więc co zrobisz?

– Zrobię, co następuje: po podpisaniu czeku zostawię piętnaście procent napiwku, a czterdzieści dolarów tego gościa wsunę Helen do kieszeni. Ona dostanie wszystko, gazecie krzywda się nie stanie, a czego Wuj Sam nie widzi, tego mu nie żal.

– Tak się robi interesy w Ameryce – powiedział poważnie Dave.

– I wiesz, co mi się podoba? – dodał Vince Teague, odwracając twarz do słońca. Kiedy zmrużył oczy, na jego twarzy pojawiły się nagle tysiące zmarszczek. Nie postarzyły go tak, by wyglądał na swój wiek, ale jednak wyglądał prawie na osiemdziesięciolatka.

– Nie, co? – spytała Stephanie z rozbawieniem.

– Podoba mi się, że pieniądze krążą i krążą, jak ubrania w suszarce. Lubię się temu przyglądać. A tym razem kiedy maszyna wreszcie przestanie wirować, pieniądze zatrzymają się tutaj, na wyspie Moose, gdzie ludzie naprawdę ich potrzebują. A żeby już wszystko było idealnie, ten miastowy naprawdę zapłacił za nasz obiad i poszedł w cholerę.

– Właściwie pobiegł – zauważył Dave. – Musiał zdążyć na prom, nie wiesz czasem. Aż mi się przypomina ten wiersz Edny St. Vincent Millay. „Byłyśmy wesołe, byłyśmy zmęczone i przez całą nockę pływałyśmy promem”. Coś w tym stylu, nie całkiem to, ale blisko.

– Nie był szczególnie wesoły, ale zanim dotrze w następne miejsce, będzie zmęczony jak cholera – odparł Vince. – Chyba coś wspomniał o Maddewaska. Może tam znajdzie jakieś niewyjaśnione tajemnice. Na przykład, dlaczego ktoś tam w ogóle mieszka. Dave, pomóż.

Stephanie uważała, że pomiędzy oboma starszami istnieje jakaś telepatyczna więź, prosta, lecz autentyczna. W ciągu trzech miesięcy pobytu na wyspie Moose-Lookit była świadkiem paru

jej przykładów, a teraz właśnie ujrzała następny. Kelnerka wracała z czekiem w dłoni. Vince widział jej nadejście, ale Dave siedział do niej plecami, mimo to jednak dokładnie zrozumiał, o co chodzi redaktorowi naczelnemu. Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął portfel, wydobyl z niego dwa banknoty, złożył je i przesunął po stole. Helen pojawiła się chwilę później. Vince wyciągnął powykrećaną dłoń po czek. Drugą wsunął banknoty do kieszonki jej fartuszka.

– Dziękuję, kochanie – powiedział.

– Na pewno nie chcecie deseru? – spytała. – Dziś jest czekoladowe ciasto z wiśniami Mae. Nie ma go w menu, ale jeszcze trochę zostało.

– Ja pasuję. Steffi?

Pokręciła głową. To samo uczynił – z pewnym żalem – Dave Bowie.

Helen zaszczyciła (jeśli to odpowiednie słowo) Vincenta Teague’a kwaśnym szacującym spojrzeniem.

– Przydałoby ci się przytyć, Vince.

– Jack Sprat z żoną, oto ja i Dave – odparł wesoło Vince.

– Aha. – Helen zerknęła na Stephanie i jedno jej zmęczone oko przymknęło się w szybkim mrugnięciu zaskakującej wesołości. – Aleś sobie wybrała parę, panienko.

– Są w porządku – odparła Stephanie.

– Jasne, pewnie trafisz od nich prosto do „New York Timesa”. – Helen zebrała talerze i dodała: – Zaraz wracam po resztę – po czym odpłynęła.

– Kiedy znajdzie te czterdzieści dolarów w kieszeni – odezwała się Stephanie – będzie wiedziała, kto je tam włożył?

Znowu spojrzała na patio, gdzie pewnie ze dwa tuziny klientów piło kawę, mrożoną herbatę, piwo albo zajadało nieuwzględnione w menu czekoladowe ciasto z wiśniami. Nie wszyscy wyglądali na skorych do wsunięcia czterdziestu dolarów do kieszeni kelnerki, ale niektórzy owszem.

– Może i będzie – odparł Vince. – Ale powiedz mi coś, Steffi.

– Powiem, jeśli będę mogła.

– Czy gdyby wiedziała, byłoby to nielegalne przywłaszczenie?

– Nie wiem, o co...

– Chyba wiesz. Wstawaj, wracamy do redakcji. Gazeta sama się nie wyda.

Oto co Stephanie najbardziej podobało się w „Weekly Islanderze”; oto co nadal urzekало ją po trzech miesiącach, spędzonych głównie na pisaniu reklam: w pogodne popołudnie można było odejść na sześć kroków od biurka i ujrzeć fantastyczny widok wybrzeża Maine. Wystarczyło tylko stanąć na ocienionym ganku, biegnącym wzdłuż przypominającego stodołę budynku redakcji. To prawda, że powietrze pachniało rybami i wodorostami, ale wszystko na Moose-Lookit tak pachniało. Można do tego przywyknąć, jak przekonała się Stephanie, a wtedy następowało coś pięknego: kiedy nos lekceważył ten zapach, on wracał i znowu się objawiał, ale tym razem był niemal jak perfumy.

W pogodne popołudnia (takie jak to, niemal pod koniec sierpnia) każdy dom, przystań i łódź rybacka od strony Tinnock rysowały się bardzo wyraźnie. Stephanie mogła odczytać SUNOCO na boku pompy diesla i „LeeLee Bett” na kadłubie jakiegoś jedyne go żywiciela poławiacza łupaczy, wyciągniętego na brzeg na posezonowe czyszczenie i malowanie. Widziała chłopca w szortach i sportowej bluzie, łowiącego ryby z zaśmieconego pomostu poniżej baru Prestona, i tysiące słonecznych iskerek na setkach dachów. A pomiędzy Tinnock Village (w rzeczywistości sporym miasteczkiem) i wyspą Moose-Lookit słońce migotało na najbardziej niebieskiej wodzie na świecie. W takie dni zastanawiała się, jak wróci na Środkowy Zachód i czy w ogóle będzie w stanie to zrobić. A w dni, kiedy nadciągała mgła i cały stały ląd jakby przestawał istnieć, zaś ponury ryk syreny przeciwmgielnej nadpływał niczym przeciągłe wycie jakiejś odwiecznej bestii... wtedy zastanawiała się nad tym samym.

„Musisz uważać, Steffi – powiedział jej kiedyś Dave, gdy siedziała na ganku z żółtym notesem na kolanach i nagryzmołonym wielkimi kulfonami niedokończonym artykułem na kolumnę kulturalną. – Wyspiarskie życie wchodzi w krew, a kiedy już wejdzie, to jest jak malaria. Nie przechodzi tak łatwo”.

Teraz zapaliła światło (słońce ruszyło w drugą stronę i w wąskim pomieszczeniu zaczęło się robić ciemno), usiadła przy biurku i znalazła swój niezawodny notatnik z nowym artykułem o tematyce kulturalnej. Trudno by go było odróżnić od pięciu poprzednich, ale i tak spoglądała nań z niekłamanym uczuciem. To był jej artykuł, jej dzieło, praca, za którą dostawała pieniądze, i nie miała wątpliwości, że wszyscy mieszkańcy okolic, do których docierał „Islander”, naprawdę go przeczytają. Wykonywała, jak powiedziała by jej dawna nauczycielka angielskiego z liceum, zawód użyteczności publicznej.

Vince usiadł za swoim biurkiem z cichym, lecz dobrze słyszalnym stęknieniem. Po nim nastąpił suchy trzask, kiedy Vince odwrócił się najpierw w lewo, potem w prawo. Nazywał to „nastawianiem kręgosłupa”. Dave mawiał, że kiedyś przez to nastawianie doigra się paraliżu od szyi w dół, ale Vince wydawał się kompletnie niewzruszony taką perspektywą. Teraz włączył

komputer, a dyrektor finansowy usiadł na krawędzi biurka redaktora, wyjął wykałaczkę i zaczął nią gmerać w górnej protezie.

– Co to ma być? – spytał Dave, podczas gdy komputer się ładował. – Pożar? Powódź? Trzęsienie ziemi? Niebezpieczne zamieszki?

– Zamierzam zacząć od Ellen Dunwoodie, która skosiła hydrant na Beach Lane, bo nawaliły jej hamulce. Następnie, kiedy się już rozkręcę, dopieszczę wstępniak – oznajmił Vince i strzelił kostkami palców.

Dave zerknął na Stephanie ze swojego stanowiska na krawędzi biurka Vince'a.

– Najpierw plecy, teraz palce – powiedział. – Gdyby się nauczył wygrywać jakąś melodię na zebrach, posłalibyśmy go do „Idola”.

– Zawsze by tylko krytykował – odparował wesoło Vince, czekając, aż komputer wreszcie zastartuje. – Wiesz, Steff, jest w tym jakaś perwersja. Oto ja, dziewięćdziesięciolatek, jedną nogą w grobie, używam nowiusieńkiego macintosha, a ty, dwudziestodwulatka, śliczna i świeża jak brzoskwinka, gryzmolisz w żółtym notesie niczym stara panna z wiktoriańskiego romansu.

– Nie wiem, czy w czasach wiktoriańskich już istniały notesy – wyraziła wątpliwość Stephanie. Poszeleściła papierami na biurku. W czerwcu, kiedy przybyła na Moose-Look i do „Weekly Islandera”, dostała najmniejsze biurko w redakcji – właściwie tylko nieznacznie większe od szkolnej ławki – daleko w kącie. W połowie lipca awansowała – zasiadła za większym na środku pokoju. To sprawiło jej przyjemność, ale zwiększyło przestrzeń, na której mogła gubić różne rzeczy. Szperała w biurku długo, aż wreszcie znalazła jaskraworóżowe ulotki.

– Wiesz, jaka organizacja zarabia na Pożegnaniu Lata na Corocznym Wiejskim Pikniku z Tańcami na Farmie Gernerda, na którym w tym roku wystąpią Little Jonna Jaye i Straw Hill Boys?

– Tą organizacją jest prawdopodobnie Sam Gernerd, jego żona, ich pięcioro dzieci oraz rozmaici wierzyciele – odparł Vince, a jego komputer zapiszczał. – Miałem ci powiedzieć, Steff, że fajnie ci wychodzą te twoje artykuliki.

– Właśnie, miałeś – zgodził się Dave. – Dostaliśmy ze dwa tuziny listów, a tylko jeden wysłała pani Edina Steen, Królowa Gramatyki, kompletna wariatka.

– Bardziej zakręcona niż karuzela – przyznał Vince.

Stephanie uśmiechnęła się na myśl, jak rzadko od zakończenia dzieciństwa jej się to zdarzyło – uczucie doskonałego i nieskomplikowanego szczęścia.

– Dziękuję wam – powiedziała. Po czym dodała: – Mogę o coś spytać? Szczerze?

Vince odwrócił się do niej razem z krzesłem.

– O cokolwiek, bylebym nie musiał się zajmować panią Dunwoodie i hydrantem.

– A ja tymi cholernymi fakturami – dodał Dave. – Choć nie mogę iść do domu, póki z nimi nie skończę.

– Nie pozwól, żeby te papiery cię pożarły! – poradził Vince. – Ile razy ci to mówiłem?

– Możesz sobie mówić – warknął Dave. – Od dziesięciu lat nie zaglądałeś do książeczki czekowej „Islandera”. Nie mówiąc już o noszeniu jej.

Stephanie postanowiła, że nie pozwoli im odejść od tematu ani odwieść ją od niego.

– Przestańcie!

Spojrzeni na nią tak zaskoczeni, że zamilkli.

– Dave, powiedziałaś temu panu Hanratty’emu z „Globe”, że pracujesz z Vince’em w „Islanderze” od czterdziestu lat...

– Aha...

– ...a ty, Vince, zacząłeś w czterdziestym ósmym.

– To prawda. Aż do lata czterdziestego ósmego nazywaliśmy się „Zakupy i Ogłoszenia” i byliśmy darmową ulotką w różnych sklepach na wyspie i stałym lądzie. A ja byłem młody, uparty i cholemie mi sprzyjało szczęście. Wtedy właśnie wybuchły te wielkie pożary w Tinnock i Hancock. Te pożary... nie stworzyły naszej gazety, tego bym nie powiedział, choć swego czasu niektórzy tak twierdzili, ale dały jej dobry początek. Dopiero w pięćdziesiątym szóstym miałem znowu tyle reklamodawców, co tamtego lata czterdziestego ósmego.

– Więc pracujecie tu ponad pięćdziesiąt lat i przez cały ten czas ani razu nie trafiła się wam niewyjaśniona tajemnica? Czy to możliwe?

Dave Bowie spojrzał na nią z oburzeniem.

– Nigdy tak nie twierdziliśmy!

– No wiesz! Przecież tam byłeś! – dodał równie wstrząśnięty Vince.

Przez chwilę udało się im utrzymać te miny. Ale kiedy Stephanie McCann wodziła w milczeniu wzrokiem od jednego do drugiego, surowa niczym belferka z westernu Johna Forda, nie wytrzymali. Najpierw usta Vince’a Teague’a zaczęły drżeć w kąciku, potem Dave Bowie dostał tiku w powiece. Może jeszcze jakoś by się opanowali, ale popełnili błąd i spojrzeli na siebie – i już po chwili zaśmiewali się jak najstarsze dzieci świata.

– To ty mu powiedziałaś o „Ślicznej Lisie” – zwrócił się Dave do Vince’a, kiedy już odzyskał panowanie nad sobą. „Śliczna Lisa Cabot” była łodzią rybacką, którą w latach dwudziestych wyrzuciło na brzeg pobliskiej wyspy Smack z martwym marynarzem w ładowni. Pięciu innych zaginęło. – Jak ci się wydaje, ile razy Hanratty usłyszał to na tej części wybrzeża?

– No, nie wiem. A ile zrobił przystanków przed nami? – odparł Vince i po chwili obaj znowu ryczeli ze śmiechu. Vince walił się po chudych kolanach, a Dave po pękatym udzie.

Stephanie obserwowała ich ze zmarszczonymi brwiami – sama ani rozgniewana, ani rozbawiona (no... może troszeczkę) – usiłując zrozumieć powód tego szaleńczo dobrego humoru. Uważała, że historia „Ślicznej Lisy Cabot” wystarczyłaby na co najmniej jeden z serii ośmiu artykułów o – ta dam! – „niewyjaśnionych tajemnicach Nowej Anglii”, ale nie była głupia ani niewrażliwa, nie brakło jej wyczucia. Doskonale rozumiała, że według pana Hanratty’ego, ta historia się nie nadaje. A z jego miny wywnioskowała, że podczas sponsorowanych przez „Globe” wędrówek od Bostonu po Moose-Lookit już ją słyszał, a jakże, i to pewnie nieraz.

Vince i Dave kiwali głowami, kiedy wyłożyła im to wszystko.

– Ano tak – powiedział Dave. – Hanratty może być przyjezdny, ale to jeszcze nie znaczy, że jest leniwy czy głupi. Tajemnica „Ślicznej Lisy” – której wyjaśnienie ma niemal na pewno coś wspólnego z uzbrojonymi przemytnikami wódki z Kanady, choć tego nikt nie wie na pewno – jest tu znana od lat. Opiszano ją w dziesiątkach książek, nie wspominając już o gazetach „Yankee” i „Downcast”. I, Vince, czy „Globe” nie...

Vince kiwał głową.

– Możliwe. Siedem albo dziewięć lat temu. W dodatku niedzielny. Ale to mógł być „Journal” z Providence. A już na pewno tę historię o mormonach, którzy pojawili się we Freeport i usiłowali założyć kopalnię na pustyni Maine, dali w niedzielny „Telegramie”.

– A Światła z Wybrzeża z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego mają wielkie powodzenie w gazetach niemal w każde Halloween – dodał wesoło Dave. – Nie wspominając już o internetowych stronach UFO.

– No i w zeszłym roku jakaś baba napisała książkę o zatruciu na kościelnym pikniku w Tashmore – dokończył Vince.

To była ostatnia z „niewyjaśnionych tajemnic”, o której wspomnieli przy obiedzie z dziennikarzem z „Globe”. Zaraz potem Hanratty przypomniał sobie o promie o wpół do drugiej i Stephanie właściwie już mu się nie dziwiła.

– Więc go nabraliście – powiedziała. – Wykręciliście się jakąś starzyzną.

– Nie, moja droga! – Tym razem Vince wyglądał na prawdziwie oburzonego. (Powiedzmy, pomyślała Stephanie). – Każda z tych przekazanych w dobrej wierze historii to niewyjaśniona

tajemnica Nowej Anglii – a raczej naszych okolic.

– Nie mogliśmy mieć pewności, że ich nie zna, dopóki mu ich nie opowiedzieliśmy – dodał rozsądnie Dave. – Choć wcale nas nie dziwi, że je znał.

– Wcale – zgodził się Vince. Oczy mu błyskały. – Kawalki faktycznie nie najnowsze, muszę przyznać. Ale zarobiliśmy dzięki nim smaczny obiad, nie? A przy tym byliśmy świadkami, jak pieniądze krążą i zatrzymują się dokładnie tam, gdzie powinny... częściowo w kieszeni Helen Hafner.

– I naprawdę znacie tylko te historie? Przeżute na papkę w książkach i wielkich gazetach?

Vince spojrzął na Dave'a, swojego towarzysza od wielu lat.

– Tak powiedziałem?

– Nie – odparł Dave. – I ja chyba też nie.

– Więc o jakich innych niewyjaśnionych tajemnicach wiecie? I dlaczego mu nie powiedzieliście?

Obaj zerknęli na siebie i jeszcze raz Stephanie McCann nabrała przekonania, że jest świadkiem działania telepatii. Vince skinął nieznacznie głową w stronę drzwi. Dave wstał, przeszedł przez jasno oświetloną połowę długiego pomieszczenia (w ciemniejszej połowie czaiła się wielka, staroświecka offsetowa maszyna drukarska, od siedmiu lat stojąca beczynnie) i przekręcił tabliczkę na drzwiach stroną ZAMKNIĘTE do ulicy.

– Zamknięte? W środku dnia? – spytała Stephanie z cieniem niepokoju w duszy, jeśli nie w głowie.

– Jak ktoś przyjdzie z nowymi wiadomościami, może zapukać – powiedział Vince rozsądnie.

– A skoro będą ważne, to załomocze.

– A jeśli wybuchnie pożar w centrum, to usłyszymy syreny – dodał Dave. – Chodźmy na werandę. Nie można marnować sierpniowego słońca, nie zabawi tu długo.

Stephanie spojrzała najpierw na Dave'a, potem na Vince'a Teague'a, który w dziewięćdziesiątym roku życia był równie sprawny umysłowo, jak w czterdziestym piątym. Była tego pewna.

– Zaczyna się szkolenie? – spytała.

– Właśnie – powiedział Vince, i choć nadal się uśmiechał, wyczuła jego powagę. – A wiesz, co jest miłym gestem ze strony starców, czyli nas?

– Że zadajecie sobie trud i uczycie ludzi, którzy chcą się uczyć.

– No właśnie. Chcesz się uczyć, Steffi?

– Tak. – Powiedziała to bez wahania pomimo wewnętrznego niepokoju.

– Więc wyjdźmy i usiądźmy. Wyjdźmy i trochę sobie posiedźmy na powietrzu.

Zrobiła, co kazał.

Słońce grzało, powietrze było chłodne, wietrzyk rześki od soli i pełen dźwięków dzwonów, klaksonów i chlupotu wody. Były to odgłosy, które pokochała w ciągu zaledwie paru tygodni. Dwaj panowie usiedli po obu jej stronach, a choć nie była tego świadoma, pomyśleli mniej więcej to samo: „Zuzanna i starcy”. Ale nie było w tej myśli nic zdrożnego, bo obaj wiedzieli, że ich intencje są zupełnie czyste. Wiedzieli też, że jest zdolna i bardzo chce się uczyć, a ta jej miła łapczywość sprawiała, że i oni mieli ochotę uczyć.

– No dobrze – odezwał się Vince, kiedy się już usadowili. – Pomyśl o tych bajeczkach, które zaserwowaliśmy Hanratty’emu do obiadu – niewyjaśniona tajemnica „Lisy Cabot”, Światła z Wybrzeża, Wędrujący Mormoni, Truciciel z Tashmore – i powiedz, co je łączy.

– Żadna nie została wyjaśniona.

– Rusz główką, kochaneczko – zachęcił Dave. – Jestem rozczarowany.

Zerknęła na niego i przekonała się, że nie żartuje. No, to było dość oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę powody, dla których Hanratty w ogóle zaprosił ich na ten obiad: osiem artykułów (a może nawet dziesięć, powiedział Hanratty, jeśli znajdzie się dosyć materiału) w „Globe”, opublikowanych od września do Halloween.

– Wszystkie miały jakiś związek ze śmiercią.

– Już lepiej – przyznał Vince – ale nadal nie weszłaś na nowy teren. Zadaj sobie pytanie, smarkata: dlaczego wszystkie miały związek ze śmiercią? Dlaczego jakaś gazetka z Nowej Anglii co najmniej raz do roku wywleka sprawę Świateł z Wybrzeża, publikując nieostre fotografie sprzed pół wieku? Dlaczego jakiś regionalny magazyn w rodzaju „Yankee” czy „Coast” najmarniej raz na rok zamieszcza wywiad z Claytonem Riggssem lub Ellą Ferguson, jakby ci raptem mieli wystrzelić z jakąś rewelacją, no wiesz, ni stąd, ni zowąd powiedzieć coś nowego?

– Nie znam tych ludzi – powiedziała.

Vince klepnął się w potylicę.

– A no fakt, głupi jestem. Ciągle zapominam, że nie jesteś stąd.

– Czy mogę to uznać za komplement?

– Możesz, a nawet powinnaś. Clayton Riggs i Ella Ferguson to jedyni, którzy wypili mrożoną kawę nad jeziorem Tashmore i nie zmarli. Ferguson wyszła z tego bez szwanku, ale Riggsowi sparaliżowało lewą stronę ciała.

– Straszne. I dziennikarze ciągle robią z nimi wywiady?

– Aha. Minęło piętnaście lat i chyba już każdy półgłówek wie, że nikt nie trafi do pudła za tę zbrodnię – z ośmiu osób, poczęstowanych nad jeziorem trucizną, sześć straciło życie – a Ferguson i Riggs furt się wypowiadają w gazetach, które dają coraz głupsze tytuły: „Co się

zdarzyło tego dnia”, „Horror nad jeziorem”... no wiesz. To po prostu bajka, której ludzie lubią słuchać, taka sama jak ta o Czerwonym Kapturku albo o trzech kozłatkach. Pytanie: dlaczego?

Obaj znowu wymienili spojrzenia i tym razem nie potrafiła nawet z grubsza określić, o co im chodzi. Siedzieli na identycznych ogrodowych krzeselkach, Stephanie z dłońmi na oparciach. Dave pogłaskał ją po ręce.

– Nie szkodzi, możemy ci powiedzieć... nie, Vince?

– A jak – odparł Vince i znowu pokazał wszystkie zmarszczki, uśmiechając się do słońca.

– Ale kto chce płynąć promem, ten przynosi herbatę dla sternika. Znasz to powiedzonko?

– Gdzieś słyszałam. – Przyszły jej na myśl leżące na strychu stare płyty matki.

– No dobrze – powiedział Dave. – Więc zadaj to pytanie. Hanratty nie chciał tych historii, bo już je wszyscy zajeździli na śmierć. A dlaczego?

Zastanowiła się, a oni jej na to pozwolili. Widok jej namysłu sprawiał im przyjemność.

– No tak – odezwała się w końcu. – Przypuszczam, że ludzie lubią historie, które budzą w nich dreszcz w zimowe noce, zwłaszcza jeśli światła palą się jasno, a ogień trzaska na kominku. Historia o, no wiecie, nieznanym.

– Ile nieznanymi tajemnic na jedną historię, kochanie? – spytał Vince Teague. Głos miał łagodny, ale spojrzenie przenikliwe.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć „co najmniej sześć”, myśląc o trucicielu z kościelnego pikniku, ale je zamknęła. Tego dnia nad jeziorem Tashmore zmarło sześć osób, zabiła je jednak jedna potężna dawka trucizny, prawdopodobnie z ręki jednej osoby. Stephanie nie wiedziała, ile było światel na wybrzeżu, ale nie wątpiła, że wszyscy uważają je za jedno zjawisko. Więc...

– Jedna? – powiedziała, czując się jak w finale teleturnieju. – Jedna tajemnica na jedną historię?

Vince wycelował w nią palec, uśmiechając się jeszcze szerzej, i Stephanie odetchnęła. To nie była prawdziwa szkoła, a ci dwaj nie straciliby do niej sympatii, gdyby nie zgadła, ale zaczęło jej zależeć na tym, żeby sprawić im przyjemność. Żywiła to uczucie tylko wobec najlepszych nauczycieli z liceum i college’u. Tych z powołaniem.

– Druga sprawa to ta, że ludzie muszą głęboko wierzyć w istnienie tak zwanego topewnia i mieć na jego temat własną teorię – dodał Dave. – Weźmy „Śliczną Lisę”, wyrzuconą na brzeg tuż za Nook Dingle na wyspie Smack w dwudziestym szóstym...

– Dwudziestym siódmym – poprawił Vince.

– Dobra, w dwudziestym siódmym, mądralo, Teodor Riponcaux jest na pokładzie, ale martwy jak dorsz, pięciu innych przepadło i choć nigdzie nie ma śladu krwi ani walki, ludzie mówią, że „to pewnie” byli piraci, więc teraz krążą historie, że mieli mapę wyspy skarbów i że znaleźli zakopane złoto, a ci, którzy go strzegli, dopadli ich, i kto wie, co jeszcze.

– Albo że piraci zaczęli walczyć między sobą – dodał Vince. – To zawsze była ulubiona

wersja. Chodzi o to, że istnieją historie, które ludzie lubią opowiadać, a inni ludzie lubią ich słuchać, ale Hanratty miał dość rozumu, żeby się połapać, że jego naczelny nie poleci na takie wyświechtane starocie.

– Może za dziesięć lat by to zrobił – powiedział Dave. – Bo wcześniej czy później wszystko, co stare, znowu staje się nowe. Możesz w to nie wierzyć, Steffi, ale to prawda.

– Wierzę – odparła, myśląc: „Herbata dla sternika” to Al Stewart czy Cat Stevens?

– No i są jeszcze Światła z Wybrzeża – ciągnął Vince – i mogę ci dokładnie wyjaśnić, dlaczego wszyscy je lubią. Istnieje ich zdjęcie – prawdopodobnie to tylko odbicie światła z Ellsworth w niskich chmurach, które zawisły dokładnie tak, że przypominają latające talerze – a poniżej widać całą drużynę małych baseballistów z drużyny Hancock Lumber, z zadartymi głowami i w strojach sportowych.

– A jeden chłopiec wskazuje je rękawicą – zakończył Dave. – To już mistrzowski chwyt. A ludzie patrzą i mówią: „No, «topewnie» kosmici wpadli z przyjacielską wizytą na mecz”. Ale to nadal tajemnica, a w dodatku interesujące zdjęcia, na które można się gapić bez końca, więc ludzie ciągle do niej wracają.

– Ale nie „Boston Globe” – zauważył Vince – choć coś mi mówi, że z braku laku i oni by się skusili.

Obaj roześmiali się swobodnie, jak to starzy przyjaciele.

– Dlatego – podjął Vince – może i znamy jakąś niewyjaśnioną tajemnicę...

– Chociaż nie będę się przy tym upierał – wpadł mu w słowo Dave. – Jedną znamy na pewno, kochanie, ale nie ma w niej żadnego topewnia.

– No... a stek... – odezwał się Vince, choć bez przekonania.

– No tak, ale nawet to jest tajemnicą, nie powiesz, że nie?

– Nie powiem – zgodził się Vince, choć w jego głosie nie było pewności. Nie było jej też w jego oczach.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Stephanie.

– No tak, bo historia Colorado Kida jest niezrozumiała, to się zgadza – podjął Vince – dlatego nie nadałaby się do „Boston Globe”. Przynajmniej – zbyt wiele niewiadomych. Poza tym ani jednego pewnego topewnia. – Pochylił się i przygwoździł ją czystym błękitem jankeskiego spojrzenia. – Chcesz być dziennikarką, tak?

– Wiesz, że tak – odparła zaskoczona.

– No dobrze. Więc zdradzę ci tajemnicę znaną niemal każdemu, kto przez jakiś czas siedział w tym biznesie: w prawdziwym życiu ilość prawdziwych historii – tych z początkiem, środkiem i końcem – jest bliska zeru. Ale jeśli dasz czytelnikom tylko jedną tajemnicę (w ostateczności dwie), a potem dorzucisz to, co niejaki Dave Bowie nazywa topewniem, czytelnik sam sobie dopowie historię. Zdumiewające, nie?

– Weźmy Truciciela z Kościelnego Pikniku. Nie wiadomo, kto nim był. Ale wiadomo, że Rhoda Parks, sekretarka kościoła metodystów, oraz William Blakee, pastor tegoż kościoła, mieli krótki romans na pół roku przed wypadkiem. Ale Blakee, człowiek żonaty, zakończył romans. Nadążasz?

– Tak – powiedziała Stephanie.

– Wiadomo także, że Rhoda Parks była rozżalona z powodu rozstania, przynajmniej przez jakiś czas. Tak powiedziała jej siostra. Trzeci znany fakt? Rhoda Parks i William Blakee wypili zatrutą mrożoną kawę na pikniku i zmarli. A zatem jakiego tu mamy topewnia? Sprężaj się, Steffi.

– To pewnie Rhoda zatrula kawę, by zabić kochanka, a sama popełniła samobójstwo. Pozostała czwórka – plus ci, którzy się tylko zatruli – to, by tak rzec, skutki uboczne.

Vince strzelił palcami.

– No właśnie, taką historię opowiadają sobie ludzie. Gazety i magazyny nigdy nie piszą tego wprost, bo nie muszą. Wiedzą, że ludzie sami sobie połączą fakty. Jaki mamy argument przeciwko? No, Steffi?

Ale tym razem Steffi nie potrafiła się sprężyć. Miała właśnie zauważyć, że nie zna wystarczająco dobrze tej sprawy, kiedy Dave wstał, podszedł do balustrady ganku, spojrzął na zatokę od strony Tinnock i zauważył łagodnie:

– Pół roku to długo, prawda?

– Czy ktoś nie powiedział, że zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno?

– Ano tak – przyznał Dave, nadal z bezbrzeżną łagodnością – ale kiedy zabija się sześć osób, to już coś więcej niż zemsta. Nie twierdzą, że nie mogło tak być, ale że mogło być inaczej. Tak jak Światła z Wybrzeża mogły być odbiciami na chmurach... albo jakimś wojskowym tajnym wynalazkiem, który testowały samoloty z bazy lotniczej w Bangor... albo, kto wie, może to i były małe zielone ludziki, które wpadły sprawdzić, czy dzieciaki z Hancock Lumber dokopią Tinnock Auto Body.

– Przeważnie ludzie wymyślają historię i są jej wierni – powiedział Vince. – To łatwe, jeśli istnieje tylko jedna niewiadoma: jeden truciciel, jeden komplet tajemniczych światła, jedna łódź wyrzucona na brzeg bez załogi. Ale przy Colorado Kidzie są po prostu same niewiadome, i dlatego to nie jest żadna historia. – Zamilkł na chwilę. – To zupełnie, jakby pociąg wyjechał z kominka albo pewnego ranka na środku twojego podjazdu pojawiło się parę końskich głów. No może nie tak efektownie, ale równie dziwnie. A takie rzeczy... – Pokręcił głową. – Steffi, ludzie nie lubią takich rzeczy. Nie chcą ich. Miło jest patrzeć na fale, kiedy obmywa brzeg plaży, ale zbyt wiele fal powoduje chorobę morską.

Stephanie spojrziała na migotliwą zatokę – mnóstwo fal, ale dziś niezbyt dużych – i zastanowiła się nad tym w milczeniu.

– To nie wszystko – odezwał się Dave po chwili.

– Tak?

– To nasza historia – oznajmił z zaskakującą mocą. Nawet jakby z gniewem. – Gość z „Globe”, ktoś przyjezdny, tylko by to spała. Nic by nie zrozumiał.

– A ty?

– Nie – rzekł, znowu siadając. – Ale nie muszę, kochanie. Jeśli chodzi o Colorado Kida, jestem trochę jak Najświętsza Panienka po urodzeniu Jezusa. Biblia mówi: „Lecz Maryja milczała i rozważała te sprawy w swym sercu”. Czasami w wypadku tajemnic tak jest najlepiej.

– Ale mnie powiesz?

– Ma się rozumieć, droga pani! – Spojrzał na nią jakby z zaskoczeniem; a także – troszeczkę – jakby nagle się przebudził z drzemki. – Bo jesteś jedną z nas. Prawda, Vince?

– Ano tak – potwierdził Vince. – Zdałaś egzamin w połowie lata.

– Naprawdę? – Znowu poczuła to absurdalne szczęście. – Jak to? Jaki egzamin?

Vince pokręcił głową.

– Nie mogę powiedzieć, kochanie. Wiem tylko, że w pewnym momencie zaczęło wyglądać na to, że jesteś w porządku. – Zerknął na Dave’a, który skinął głową. Potem znowu wrócił spojrzeniem do Stephanie. – Świetnie. Historia, której nie opowiedzieliśmy przy obiedzie. Nasza własna niewyjaśniona tajemnica. Historia Colorado Kida.

Ale to Dave zaczął opowiadać.

– Dwadzieścia pięć lat temu – powiedział – w latach osiemdziesiątych, dwoje młodych wsiadło na prom do szkoły o szóstej trzydzieści zamiast na ten o siódmej trzydzieści. Należeli do kółka lekkoatletycznego liceum w Bayview i byli parą. Kiedy zima się skończyła – a tu, nad morzem, nie trwa tak długo, jak na stałym lądzie – zaczęli biegać przez całą wyspę, od plaży Hammock do głównej drogi, potem do Bay Street i do miejskiego portu. Rozumiesz, Steffi?

Rozumiała. Rozumiała także ten romantyzm. Ale nie rozumiała, co owa „para” robiła, znalazłszy się na plaży od strony Tinnock. Wiedziała, że mniej więcej tuzin licealistów z Moose-Lookit zawsze wsiada na prom o siódmej trzydzieści, podając swoje przepustki przewoźnikowi – Herbiemu Gosslinowi lub Marcy Lagassee – który przejeżdża szybkim promieniem laserowego czytnika po kodzie kreskowym. Po stronie Tinnock czeka na uczniów szkolny autobus, który wiezie ich pięć kilometrów do szkoły. Spytała, czy biegacze czekali na autobus, a Dave pokręcił z uśmiechem głową.

– Nie, po tamtej stronie też biegali. Nie trzymali się za ręce, choć pewnie by mogli; zawsze ramię w ramię, Johnny Gravlin i Nancy Arnault. Przez parę lat byli prawie nierozłączni.

Stephanie wyprostowała się. John Gravlin był burmistrzem wyspy Moose-Lookit, towarzyskim panem, z miłym słowem dla każdego i nadzieją na miejsce w senacie Augusty. Miał powiększającą się łysinę i brzuszek. Usiłowała wyobrazić sobie, jak śmiga niczym chart – trzy kilometry po wyspie i pięć na stałym lądzie – i nie mogła.

– Nie bardzo ci idzie, co, kochanie? – spytał Vince.

– Nie bardzo.

– Bo widzisz Johnny’ego Gravlina, sportowca, piątkowego dowcipnisia i sobotniego kochanka, jako burmistrza Johna Gravlina, który przypadkiem jest jedyną polityczną żabką w małym wyspiarskim stawie. Skacze sobie po Bay Street, ściskając dłonie i błyskając złotym zębem z boku, ma dobre słowo dla każdego, nigdy nie zapomina nazwisk ani tego, kto jeździ fordem, a kto się tłucze starym ciągnikiem ojca. To karykatura prosto z filmu z lat czterdziestych o dziarskich politykach z małego miasteczka, a on jest takim ćwokiem, że nawet o tym nie wie. Ma w głowie tylko jedno: skacz, żabko, skacz – i jak doskacze do stawu w Augustie, to albo starczy mu rozumu, żeby się tam zatrzymać, albo zrobi jeszcze jeden skok i coś go rozgniecie.

– To bardzo cyniczne – oznajmiła Stephanie, nie bez młodzieńczego podziwu dla tej cechy.

Vince wzruszył kościstymi ramionami.

– Hej, ja sam jestem taką karykaturą, tyle że z filmu, w którym dziennikarz w zarękawkach i z celuloidowym daszkiem nad oczyma wrzeszczy w ostatnim ujęciu: „Zatrzymać maszyny!”. Chodzi mi jedynie o to, że wtedy Johnny był kompletnie kimś innym – chudy jak patyk i szybki

jak strzała. Przypominałby niemal jakiegoś boga, gdyby nie te nieszczęsne krzywe zęby, które sobie zresztą naprostował. A ona... w tych skąpych czerwonych szortach... to była prawdziwa bogini. – Zamilkł. – Jak wiele siedemnastoletnich dziewcząt.

– Przestań się tarzać w rynsztoku – odezwał się Dave.

Vince spojrział na niego z bolesnym zaskoczeniem.

– Nieprawda. Wcale nieprawda. Tarzam się w chmurach.

– Jak sobie chcesz – odpuścił Dave. – Przyznaję, że było na co popatrzeć. Przewyższała Johnny'ego o parę centymetrów i być może dlatego się rozstali na wiosnę w maturalnej klasie. Ale wtedy, w osiemdziesiątym roku, byli w sobie zapatrzeni i codziennie biegli na prom po tej stronie, a potem przez Bayview Hill do liceum po stronie Tinnock. Chodziły zakłady, kiedy Nancy zajdzie z nim w ciążę, ale nigdy się tak nie stało. Albo on był okropnie rozsądny, albo ona okropnie ostrożna. – Zamilkł. – Albo, kurczę, byli bardziej wyrafinowani niż większość młodziaków z wyspy.

– A może wszystko przez to bieganie – dorzucił rozsądnie Vince.

– Do rzeczy, proszę – napomniała Stephanie i obaj parsknęli śmiechem.

– Rzecz przedstawia się tak – powiedział Dave – że pewnego ranka na wiosnę tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku – był to kwiecień – zobaczyli mężczyznę siedzącego na plaży Hammock. Wiesz, tuż za wioską.

Stephanie знаła tę plażę. Była piękna, choć trochę zbyt lubiana przez letników. Nie potrafiła jej sobie wyobrazić jesienią, choć miała szansę to zobaczyć na własne oczy – praktyka kończyła się piątego października.

– No, niezupełnie siedzącego – poprawił Vince'a Dave. – Oboje powiedzieli później, że prawie leżał. Opierał się o kosz na śmieci, no wiesz, taki, co to są zakopane w piasku, żeby wicher ich nie zwał, ale facet był tak ciężki, że kubek... – Dave uniósł pionowo dłoń, po czym ją przechylił.

– ...wyglądał jak krzywa wieża w Pizie – uzupełniła Steffi.

– Ładnie to ujęłaś. Ponadto nie był stosownie ubrany – o wczesnym poranku panował chłód, najwyżej pięć stopni, a z powodu silnego wiatru wydawało się, że jest raczej zero. Miał na sobie eleganckie szare spodnie i białą koszulę. Na nogach mokusy. Był bez płaszcza i bez rękawiczek. Młodzi nawet o tym nie rozmawiali. Podbiegli sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku, i natychmiast przekonali się, że nie. Johnny powiedział później, że gdy tylko zobaczył twarz tego gościa, zorientował się, że to trup, a Nancy też tak mówiła, ale oczywiście nie chcieli tego przyznać – ty byś tak zrobiła? Nie upewniwszy się?

– Nie – powiedziała Stephanie.

– Siedział tam (no... prawie leżał) z jedną ręką na kolanach, a drugą – prawą – na piasku. Jego twarz była biała jak wosk, z wyjątkiem fioletowych plamek na policzkach. Oczy miał

zamknięte, a Nancy powiedziała, że jego powieki były sinawe. Usta także sine, a szyja, powiedziała, wyglądała na nabrzmiąłą. Włosy w kolorze piaskowy blond, krótkie, ale nie aż tak, żeby parę pasem nie trzepotało mu na czole przy każdym podmuchu wiatru, czyli bez przerwy.

Nancy spytała:

– Śpi pan? Halo? Jeśli pan zasnął, to lepiej niech się pan obudzi.

Johnny Gravlina na to:

– On nie śpi, Nancy, i nie jest nieprzytomny. Nie oddycha.

Później ona twierdziła, że o tym wiedziała, widziała to, ale nie chciała uwierzyć własnym oczom. No, ja myślę, biedne dziecko. Więc mówi do Gravlina:

– A może jednak oddycha. Może śpi. Nie zawsze widać, czy człowiek oddycha, czy nie. Potrząśnij nim, Johnny, a nuż się ocknie.

Johnny nie chciał, ale nie chciał także wyjść na cykora w oczach swojej dziewczyny, więc wyciągnął rękę – musiał zebrać całą odwagę, powiedział mi o tym wiele lat później, kiedy razem wypiliśmy parę drinków – i chwycił gościa za ramię. Ledwie go złapał, a już miał pewność, bo w dotyku nie przypominało to wcale ramienia, tylko jakąś rzeźbę. Ale i tak potrząsnął ze słowami:

– Pobudka! Niech pan wstaje! Szkoda... – Chciał dodać: „życia na sen”, ale uznał, że w tych okolicznościach nie zabrzmi to najlepiej, więc dokończył: „zdrowia”.

Szarpnął nim dwa razy. Za pierwszym nic się nie stało. Za drugim głowa faceta opadła na lewe ramię – Johnny trząśnął za prawe – i ciało osunęło się z kosza na śmieci, który je przytrzymał w pozycji siedzącej, na bok. Głowa uderzyła o piasek. Nancy krzyknęła i rzuciła się ku drodze, najszybciej jak potrafiła... czyli szybko, mogę cię zapewnić. Gdyby się nie zatrzymała, Johnny pewnie musiałby ją gonić aż na koniec Bay Street, no i nie wiem, może nawet na koniec przystani A. Ale jednak się zatrzymała, a on ją dogonił, objął i jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy, czując żywe ciało. Powiedział mi, że w życiu nie zapomni dotyku tamtego trupiego ramienia i że było jak drewno pod tą białą koszulą. – Dave urwał gwałtownie i wstał. – Chcę coca-cola z lodówki – powiedział. – W gardle mi zaschło, a to długa historia. Ktoś się napije?

Okazało się, że wszyscy, a ponieważ akurat Stephanie była osobą zabawianą – jeśli można to tak określić – więc ona poszła po napoje. Kiedy wróciła, obaj starszycy siedzieli na balustradzie werandy, spoglądając na cieśninę i stały łódź za nią. Stała obok nich, postawiła starą blaszaną tacę na szerokiej balustradzie i rozdała szklanki.

– Na czym skończyłem? – spytał Dave po długim łyku.

– Doskonale wiesz – odparł Vince. – Na tym, że nasz przyszły burmistrz i Nancy Arnault, która przebywa teraz Bóg wie gdzie – pewnie w Kalifornii, ci najlepsi zawsze wybywają z wyspy najdalej jak można bez zdobywania paszportu – znaleźli martwego Colorado Kida na plaży

w Hammock.

– Ano tak. A więc John postanowił pobiec do najbliższego telefonu, pewnie tego przed biblioteką publiczną, żeby zadzwonić do George’a Woumosa, który był w owych czasach policjantem na Moose-Lookit (już dawno odszedł po należną mu nagrodę, kochany lebiega). Nancy nie protestowała, ale chciała, żeby Johnny najpierw „doprowadził tego człowieka do porządku”. Tak go nazywała: „ten człowiek”. Nigdy „trup” czy „zwłoki”, zawsze „ten człowiek”. Johnny jej mówi:

– Nan, moim zdaniem, policja nie lubi, kiedy się ich rusza.

A Nancy:

– I tak już ruszyłeś. Chcę, żebyś go posadził tak, jak siedział.

On na to:

– Zrobiłem to tylko dlatego, że mnie prosiłaś.

A ona:

– Proszę cię, Johnny. Nie mogę znieść jego widoku, kiedy tak leży i nie mogę znieść myśli, że tak leży.

I zaczyna płakać, co oczywiście załatwia sprawę i Johnny wraca do zwłok, nadal zgiętych w pół, jakby siedziały, lecz leżących bokiem na piasku.

Johnny powiedział mi pewnej nocy w knajpie, że nigdy by się do tego nie zmusił, gdyby Nancy nie stała mu nad głową, przekonana, że on to zrobi. I wiesz, wierzę, że tak było. Mężczyzna zrobi dla kobiety wiele rzeczy, które olałby w jednej chwili, gdyby został sam – rzeczy, których unika w dziewięciu przypadkach na dziesięć, nawet kiedy jest pijany, a paczka kumpli podpuszcza go, żeby to zrobił. Johnny powiedział, że im bardziej zbliżał się do mężczyzny leżącego na piasku – leżącego z nogami w górze, jakby siedział na niewidzialnym krześle – tym większą miał pewność, że te zamknięte oczy się otworzą, a facet go złapie. Świadomość, że to trup, wcale nie łagodziła tego wrażenia, mówił Johnny, tylko je potęgowała. Ale w końcu stanął tam, zebrał całą odwagę, położył ręce na drewnianych ramionach i posadził gościa, opierając go o przechylony kosz na śmieci. Ubzdurało mu się, że kosz się przewróci, narobi hałasu, a wtedy on zacznie wrzeszczeć. Ale kosz się nie przewrócił, a on się nie rozwrzeszczał. Jestem całkowicie pewien, Steffi, że my, biedne ludziki, jesteśmy zaprogramowani na myślenie, że przydarzy się nam najgorsze, ponieważ rzadko się tak dzieje. Wtedy to, co jest paskudne, wydaje się w porządku – właściwie niemal dobre – i możemy sobie z tym poradzić.

– Naprawdę tak myślisz?

– A jak! W każdym razie Johnny już odchodził, kiedy zauważył paczkę papierosów, które wypadły na piasek. A ponieważ najgorsze miał za sobą i teraz było po prostu tylko paskudnie, zdołał je podnieść, ba, nawet zanotował w pamięci, żeby poinformować George’a Woumosa

o tym, co zrobił, na wypadek gdyby policja zdjęła odciski i znalazła ślad jego palca na celofanie, i włożył je z powrotem do kieszeni na piersiach białej koszuli zmarłego. Potem wrócił do Nancy, okutanej w ciepłą szkolną kurtkę i przestępującej z nogi na nogę, bo musiało jej być zimno w tych skąpych szortach. Choć pewnie czuła nie tylko chłód powietrza.

W każdym razie długo nie marzła, jako że pobiegli do biblioteki publicznej i na pewno, gdyby ktoś miał przy sobie stoper, okazałoby się, że pobili rekord na kilometr albo byli go bliscy. Nancy miała mnóstwo dwudziestopięciocentówek w małej portmonetce, którą trzymała w kieszeni kurtki, i to ona zadzwoniła do George'a Woumosa; ten właśnie ubierał się do pracy – był właścicielem salonu z samochodami, tam gdzie dziś organizuje się kościelne kiermasze.

Stephanie, która opisała parę z nich w dziale kulturalnym, skinęła głową.

– George spytał ją, czy mężczyzna na pewno nie żyje, a Nancy potwierdziła. Potem poprosił, żeby oddała słuchawkę Johnny'emu, i zadał mu to samo pytanie. Johnny także potwierdził. Dodał, że potrzęsnał mężczyznę, który jest sztywny jak deska. Opowiedział też, jak ciało się przewróciło, jak z kieszeni koszuli wypadły papierosy i jak je włożył z powrotem. Myślał, że George na niego nawrzeszczy, ale tak się nie stało. Nie powiedział mu złego słowa. Nie tak jak w kryminałkach w telewizji, co?

– Nie bardzo – przyznała Stephanie, myśląc, że jednak odrobineczkę przypomina jej to fragment „Murder, She Wrote”. Ale zważywszy na słowa, które padły przed rozpoczęciem historii, wątpiła w nadejście rozwiązujących zagadki postaci w rodzaju Angeli Lansbury... choć ktoś na pewno czegoś się dowiedział, pomyślała. Przynajmniej skąd pochodził zmarły.

– George powiedział Johnny'emu, że on i Nancy mają biegiem wracać na plażę i tam na niego poczekać – ciągnął Dave. – I mieli nikogo nie dopuszczać w pobliże. Johnny zgodził się. George powiedział jeszcze: „Jeśli nie zdążycie na prom o wpół do ósmej, napiszę tobie i twojej dziewczynie usprawiedliwienie”. Johnny odparł, że to ostatnie na liście jego zmartwień. Potem razem z Nancy Arnault wrócili na plażę, ale tym razem truchtem.

Stephanie nie zdziwiła się. Droga z plaży Hammock na skraj wioski Moosie Village prowadzi w dół. W drugą stronę biegnie się trudniej, zwłaszcza kiedy się już zużyło całą adrenalinę.

– Tymczasem George Wounros – podjął Vince – zadzwonił do doktora Robinsona z Beach Lane. – Zamilkł i uśmiechnął się, coś sobie przypomniawszy. A może raczej dla lepszego efektu. – A potem zadzwonił do mnie.

– Na jedynej publicznej plaży na wyspie pojawia się trup, a miejscowy policjant dzwoni do wydawcy gazety? – spytała Stephanie. – Kurczę, to naprawdę inaczej niż w „Murder, She Wrote”.

– Życie na wybrzeżu Maine rzadko przypomina serial – odparł Dave możliwie najbardziej suchym tonem. – A w tamtych czasach byliśmy właściwie dokładnie tacy jak teraz, zwłaszcza kiedy letnicy wyjeżdżają i zostają sami swoi. To nie oznacza nic romantycznego, raczej... no nie wiem, nazwijmy to polityką otwartych drzwi. Jeśli wszyscy wiedzą wszystko, plotkarze nie mają o czym gadać. A morderstwo! Policja! Trochę się pośpieszyłaś, nie sądzisz?

– Daj jej spokój – powiedział Vince. – Sami zasialiśmy ten pomysł w jej głowie, mówiąc o Trucicielu z Tashmore. Steffi, Chris Robinson asystował przy narodzinach dwojga moich dzieci. Moja druga żona – Arlette, którą poślubiłem sześć lat po śmierci Joanne – była przyjaciółką rodziny Robinsonów, a w czasach szkolnych nawet chodziła z bratem Chrisa, Henrym. Jest tak, jak mówi Dave, ale chodziło o coś więcej niż interesy.

Postawił szklanekę napoju (który nazywał „dopalaczem”) na balustradzie i rozłożył dłonie po obu stronach twarzy w geście jednocześnie czarującym i rozbrajającym. Ten gest mówił: „nie ukrywam niczego”.

– Żyjemy tu jak w klubie. Zawsze tak było i pewnie zawsze będzie, bo nigdy nie staniemy się więksi, niż jesteśmy.

– I dzięki Bogu – burknął Dave. – Nie będzie żadnych skurkowanych supermarketów. Wybacz, Steffi.

Uśmiechnęła się i powiedziała, że wybacz.

– W każdym razie – podjął Vince – chciałbym, żebyś teraz wzięła tę myśl o morderstwie i odłożyła ją na bok. Zrobisz to?

– Tak.

– Moim zdaniem, za jakiś czas przekonasz się, że nie możesz jej całkiem usunąć ani przywrócić na dawne miejsce. Tak to już jest z wieloma sprawami, związanymi z Colorado Kidem, i dlatego ta historia nie nadaje się dla bostońskiego „Globe”. Nie wspominając już „Yankee”, „Downcast” i „Coast”. Nie nadaje się nawet dla „Weekly Islandera”, szczerze mówiąc. Donieśliśmy o niej, no bo jesteśmy gazetą i przekazywanie wiadomości to nasza działka – na przykład w najbliższej przyszłości czeka mnie Ellen Dunwoodie i hydrant przeciwpożarowy, nie wspominając już małego Lestera, który jedzie do Bostonu na przeszczep nerki – oczywiście, jeśli go doczeka – a ty, rzecz jasna, musisz powiadomić ludność o Płasach na Koniec Lata na Farmie Gernerda, prawda?

– Nie mówiąc już o pikniku – mruknęła Stephanie. – I o wszystkich darmowych ciastkach,

bo ludzie przecież by się zapłakali, gdyby się o tym nie dowiedzieli.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. Dave nawet klepnął się w pierś obiema dłońmi, żeby zaznaczyć, iż „to jej się udało”.

– Ano tak, kochanie! – zgodził się Vince, nadal z uśmiechem. – Ale czasami nagle coś się wydarza, na przykład dwoje uczniów na porannej przebieżce znajduje trupa na najładniejszej miejskiej plaży, a ty mówisz sobie: „To musi być dobry temat”. Nie materiał na wzmiankę – co, gdzie, jak, kiedy i dlaczego, ale temat – a potem okazuje się, że nieprawda. Że to tylko garść faktów bez związku, otaczających prawdziwą niewyjaśnioną tajemnicę. I tego, kochanie, ludzie nie chcą. To ich denerwuje. Budzi zbyt wiele fal. Powoduje chorobę morską.

– Amen – dodał Dave. – Więc może dokończ tę historię, a my złapiemy trochę słońca?

I Vince Teague zaczął opowiadać.

– Siedzieliśmy w tym niemal od początku – a przez „my” rozumiem Dave’a i mnie, „Weekly Islandera” – choć nie pisałem o rzeczach, o których George Wournos wołał, żebym nie pisał. Nie widziałem problemu, bo to nie miało żadnego wpływu na dobro wyspy. Takie decyzje dziennikarze podejmują bez przerwy, Steffi – ty też będziesz i z czasem się do tego przyzwyczaisz. Tylko pamiętaj, żebyś nigdy nie zaczęła się z tym czuć komfortowo.

Dzieciaki wróciły i pilnowały zwłok, choć niedużo było tego pilnowania; zanim George i doktor Robinson dotarli na miejsce, widzieli najwyżej ze cztery samochody, wszystkie jadące w stronę miasta, i żaden nie zwolnił na widok dwojga nastolatków, truchtających w miejscu bądź robiących ćwiczenia rozciągające przy małym parkingu na plaży w Hammock.

Gdy George i doktor dojechali, odesłali Johnny’ego i Nancy do domu – i tutaj ci dwoje znikają z naszej historii. Nadal zaciekawieni, jak normalni ludzie, ale w istocie z ulgą, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. George zaparkował swojego forda na parkingu, doktor wziął torbę i razem podeszli do mężczyzny opartego o kosz na śmieci, który znowu trochę się przechylił na bok i doktor w pierwszym odruchu miał ochotę go wyprostować.

– Nie żyje? – pyta George.

– A jakże, co najmniej od czterech godzin, a pewnie od sześciu lub dłużej – doktor na to. (Wtedy właśnie przyjechałem i zaparkowałem chevroleta koło forda George’a). Sztywny jak deska. *Rigor mortis*.

– Czyli siedzi tu od... zaraz... od północy? – upewnia się George.

– Jak dla mnie, może tu siedzieć i od października – powiada doktor. – Pewien jestem tylko tego, że o drugiej rano już nie żył. Ze względu na zeszywnienie. Być może nie żyje od północy, ale nie mam doświadczenia w takich sprawach. Jeśli wiał silny wiatr, zeszywnienie mogło nastąpić wcześniej...

– Wczoraj w nocy nie było wiatru – mówię ja, stając obok nich. – Zacisznie jak w uchu.

– Coś takiego, kolejny specjalista – doktor Robinson na to. – Może sam byś chciał określić godzinę zgonu, geniuszu.

– Nie chciałym – mówię. – Zostawiam to tobie.

– A ja zostawię to koronerowi okręgowemu, Cathcartowi z Tinnock. Państwo płaci mu dodatkowo jedenaście tysięcy rocznie za fachowe babranie się we flakach. Moim skromnym zdaniem, to za mało, ale każdy ma to, na co zasłużył. Ja jestem zwyczajnym lekarzem od żywych. Ale... no cóż, ten gość o drugiej był już martwy, tyle mogę powiedzieć. Zmarł o zachodzie księżyca.

Potem przez jakąś minutę staliśmy tam we trójkę, przyglądając mu się jak żałobnicy. Minuta w pewnych okolicznościach może trwać strasznie krótko, ale może się też okropnie dłużyć.

Pamiętam wiatr – jeszcze słaby, choć już zaczął nabierać sił. Kiedy wieje ze wschodu, a stoi się od strony lądu, to taki smutny dźwięk...

– Wiem – powiedziała cicho Stephanie. – Jakby wył.

Skinęli głowami. Nie wiedziała, że w zimie ten dźwięk staje się upiorny – i nie było powodu jej tego mówić.

– W końcu uznałem, że pora się odezwać. George spytał doktora, ile mniej więcej lat może mieć ten gość.

– Dałbym mu koło czterdziestki, z tolerancją do pięciu lat – doktor na to. – Zgodzisz się, Vincent?

Pokiwałem głową. Czterdziestka wydawała się prawdopodobna, a mnie przyszło do głowy, że żal faceta, który umarł jako czterdziestolatek, cholernie żal. To najbardziej anonimowy wiek.

– Potem doktora coś zainteresowało. Przykląkł na jedno kolano (co nie było łatwe dla człowieka jego gabarytów, doszedł wtedy chyba do stu czterdziestu kilo, a mierzył z metr siedemdziesiąt) i ujął prawą rękę zmarłego, tę, która leżała na piasku. Palce były lekko zgięte, jakby mężczyzna umarł, usiłując zrobić z nich lunetę. Kiedy doktor uniósł jego rękę, zobaczyliśmy jakiś brud na palcach i we wnętrzu dłoni.

– Co widzisz? – spytał George. – Dla mnie to tylko piasek.

– Zgadza się, ale dlaczego przywarł? – odpowiedział pytaniem doktor Robinson. – Ten kubeł, jak i pozostałe, są rozmieszczone daleko za linią przyływu, półgłówek by się zorientował, a wczoraj nie padało. Piasek jest suchy jak pieprz. No i patrz.

Podniósł lewą rękę zmarłego. Wszyscy zauważyliśmy na niej obrączkę, a także to, że palce nie były zapiaszczone. Doktor odłożył dłoń i podniósł tę drugą i trochę przechylił, by słońce dokładniej ją oświetliło.

– Proszę – mówi. – Widzicie?

– Co to jest? – pytam. – Tłuszcz? Zatłuścił rękę?

A ten się uśmiecha i mówi:

– Wygrywasz pamiątkowego misia, Vincent. A widzisz, jak trzyma te palce?

– Aha, jakby zrobił z nich lunetę – mówi George.

Wszyscy trzej padliśmy na kolana, jakby kubeł na śmieci był ołtarzem, a myśmy wznosili modły, żeby facet znowu ożył.

– Nie, nie lunetę – powiada doktor i wtedy coś zrozumiałem – był tak rozemocjonowany, jak bywają jedynie ludzie, którzy dowiedzieli się czegoś, czego normalnie tacy jak oni nie mieliby szansy się dowiedzieć. Spojrzał zmarłemu w twarz (przynajmniej wydawało mi się, że w twarz, ale okazało się, że trochę niżej), a potem na stuloną prawą dłoń. – Nie sądzę, żeby lunetę.

– To co? – pyta George. – Bo chcę to zgłosić na policji i w biurze prokuratora, Chris. Natomiast nie chcę spędzić całego ranka na czworakach, żebyś ty się mógł bawić w Ellery’ego

Queena.

– Widzisz, jak jego kciuk niemal styka się z palcem wskazującym i środkowym? – pyta doktor, a my to oczywiście widzieliśmy. – Gdyby ten gość zmarł, spoglądając przez stulone palce, to kciuk by na nie zachodził, dotykając środkowego i serdecznego palca. Sam spróbuj, jeśli nie wierzysz.

Spróbowałem i niech mnie diabli, jeśli nie miał racji.

– To nie jest luneta – mówi doktor, znowu dotykając zeszywniałej prawej dłoni zmarłego. – To szczypce. Dodaj do tego tłuszcz i te drobinki piasku na dłoni i palcach, a co otrzymasz?

Ja już wiedziałem, ale ponieważ to George był przedstawicielem prawa, pozwoliłem mu przemówić pierwszemu.

– Skoro coś jadł w chwili śmierci – pyta George – to gdzie to jest, do jasnej cholery?

Doktor wskazuje szyję trupa – nawet Nancy Arnault zwróciła na nią uwagę i określiła ją jako rozdętą – i mówi:

– Przypuszczam, że większość nadal znajduje się tam, gdzie była, kiedy się udławił. Podaj mi torbę, Vincent.

Podąłem. Usiłowałem w niej grzebać, ale okazało się, że może to robić tylko jedną ręką, nadal opierając cały ciężar ciała na kolanach; był duży, no był, i musiał tak zrobić, żeby się nie przewrócić. Więc wręczył torbę mnie i mówi:

– Mam tam dwa wzierniki, Vincent. Jeden do codziennego użytku i jeden zapasowy, wygląda na całkiem nowiutki. Będziemy potrzebować obu.

– No, no, nie wiem – odzywa się George. – Chyba lepiej cały ten pasztet zostawić Cathcartowi zza wody. Jemu za to płacą.

– Biorę odpowiedzialność na siebie – doktor Robinson na to. – Ciekawość zabiła kota, jak wiesz, ale satysfakcja w trymiga go ożywiła. Wywlekliście mnie z domu na zimnicę i wilgoć, bez porannej herbaty czy choćby kawałka grzanki, więc zamierzam wydusić z tego dla siebie odrobinę satysfakcji, jeśli tylko zdołam. Może zresztą nie zdołam. Ale coś mi mówi... Vincent, bierz ten. George, ty weź ten nowy, i nie upuść go na piasek, z łaski swojej, bo kosztuje dwieście dolców. No dobrze. Nie łąziłem na czworakach, odkąd się bawiłem w konika, a miałem wtedy siedem lat. Jeśli będę musiał dłużej utrzymać tę pozycję, pewnie się przewrócę na tego gościa, więc lepiej się zwijajcie i róbcie dokładnie to, co mówię. Widzieliście kiedyś, jak w muzeum sztuk pięknych oświetla się małe obrazki reflektorkami, żeby wyglądały kolorowo i ładnie?

George nie widział, więc doktor mu to wyjaśnił. Kiedy skończył (i zyskał pewność, że George Wournos zajarzył), miejscowy redaktor naczelny ukląkł po jednej stronie siedzących zwłok, a miejscowy policjant po drugiej, każdy wyposażony w małą latareczkę doktora. Ale zamiast iluminować dzieło sztuki, mieli wpuścić światło do gardła zmarłego, by doktor mógł do niego zajrzeć.

Robinson ustawił się, solidnie stękając i sapiąc – byłoby to śmieszne, gdyby okoliczności nie były tak dziwaczne, i gdybym się trochę nie bał, że dostanie zawału – a potem wsunął facetowi rękę do ust i pociągnął szczękę w dół, jakby była na zawiasach. Jak się zastanowić, to właściwie była.

– A teraz – mówi – zbliżcie się, chłopcy. Gość was raczej nie ugryzie, ale jeśli się mylę, to zapłacę za ten błąd.

Przysunęliśmy się i poświeciliśmy zmarłemu do gardła. W środku było czarno i czerwono, z wyjątkiem języka, który był różowy. Słyszałem sapanie i stękanie doktora, a potem jego słowa, skierowane nie do nas, tylko do siebie: „Jeszcze trochę”. I rozchylił bardziej szczęki zmarłego. A potem zwrócił się do nas:

– Podnieście wzierniki, świećcie prosto w przetyk.

Więc się staraliśmy, jak umieliśmy. Kierunek światła zmienił się na tyle, że róż z języka zmarłego znikł, a pojawił się na tym wiszącym dzyndzelku głęboko w gardle, jak on się nazywa...

– Języczek – powiedzieli jednocześnie Stephanie i Dave.

Vince skinął głową.

– Ano tak. I tuż za nim coś zobaczyłem, a raczej czubek czegoś, czegoś ciemnoszarego. Widziałem to tylko dwie lub trzy sekundy, ale to wystarczyło, żeby doktor Robinson miał tę swoją satysfakcję. Wyjął palce z ust zmarłego – dolna warga jakby cicho plasnęła, ale szczęki nadal były rozchylone – i usiadł, sapiąc jak nieboskie stworzenie.

– Chłopcy, musicie mi pomóc się podnieść – mówi, kiedy odzipnął na tyle, że wróciła mu mowa. – Nogi mam zdrętwiałe od kolan w dół. Cholera, ależ ze mnie idiota, że się tak upałem.

– Podniosę cię, tylko powiedz kiedy – powiada George. – Widziałeś coś? Bo ja nic. A ty, Vincent?

– Coś jakby. – Prawdę mówiąc, wiedziałem, co ten skurkowaniec miał w gardle – wybacz, Steff – ale nie chciałem się wtrącać.

– Ano, widziałem – mówi doktor. Nadal trochę zasapany, ale zadowolony, jak ktoś, kto wreszcie podrapał dokuczliwie swędzące miejsce. – Cathcart to wyjmie i wtedy będziemy wiedzieli, czy to kawałek steku, schabowego czy czegoś innego, ale to chyba bez znaczenia. Wiemy, co ma znaczenie – przyszedł tu z kawałkiem mięsa w ręce i usiadł, żeby je zjeść, przyglądając się światłu księżycy na wodzie. Oparł się o ten kubeł. I udławił się, jak ten mały Indianin z rymowanki. Ostatnim kawałkiem jedzenia? Możliwe, ale niekoniecznie.

– Po jego śmierci mewa mogła ukraść to, co jeszcze trzymał w ręce – powiada George. – I zostało tylko trochę tłuszczu.

– No właśnie – doktor na to. – Teraz podnieście mnie, bo będę musiał dojść do samochodu George’a na czworakach i podciągnąć się na kłamce.

– I jak sądzisz, Steffi – spytał Vince, chłodząc gardło łykiem coli – tajemnica wyjaśniona? Sprawa zamknięta?

– A w życiu! – krzyknęła i ledwie zarejestrowała ich pełen uznania śmiech. Oczy jej błyszczały. – Może przyczyna zgonu, ale... właściwie co to było? To w jego gardle? A może uprzedzam wypadki?

– Kochanie, nie możesz uprzedzać czegoś, co nie istnieje – upomniał ją Vince, a jego oczy także błysnęły. – Zresztą uprzedzaj sobie, co tylko chcesz. Jedno ci tylko powiem. Dave pewnie też.

Jakby na potwierdzenie, redaktor naczelny „Weekly Islandera” wyjaśnił:

– To był kawałek wołowiny, pewnie steku, raczej lepszy gatunek – polędwica albo krzyżówka. Średnio wypieczony. A w akcie zgonu napisano: „Zadławienie ze skutkiem śmiertelnym”, choć człowiek, którego zawsze nazywaliśmy Colorado Kidem, dostał także rozległego udaru mózgu – innymi słowy, apopleksji. Cathcart uznał, że doprowadziło do tego zadławienie, ale kto wie, może było na odwrót. Więc, jak widzisz, nawet przyczyna zgonu wydaje się niepewna, kiedy jej się przyjrzeć z bliska.

Istnieje też jeszcze jedna historia – no, może raczej historyjka – i zaraz ci ją opowiem. O chłopaku, który pod pewnymi względami był taki jak ty, Stephanie, choć lubię myśleć, że trafiłaś w lepsze ręce, jeśli chodzi o nadanie twojemu wykształceniu ostatecznego szlif. I w bardziej współczujące. Ten chłopak był młody – miał ze dwadzieścia trzy lata – i, tak jak ty, przyjezdny (w przeciwieństwie do ciebie, z Południa, nie ze Środkowego Zachodu), i także odbywał praktykę, tyle że z dziedziny medycyny sądowej.

– Czyli pracował z tym doktorem Cathcartem i czegoś się dowiedział?

Vince wyszczerzył zęby.

– W miarę logiczne, ale mylisz się co do jego zwierzchnika. Nazywał się ten chłopak... jak się nazywał, Dave?

Dave Bowie, obdarzony pamięcią do nazwisk równie niezawodną, jak oko Annie Oakley, nie wahał się ani chwili.

– Devane. Paul Devane.

– Właśnie. Jak już powiedziałeś, to sobie przypomniałem. Otóż ten młody człowiek, Devane, został przydzielony na trzymiesięczną praktykę studencką do pary wywiadowców z prokuratury generalnej. Ale w tym wypadku lepiej byłoby powiedzieć: zesłany. Traktowali go bardzo źle. – Oczy Vince’a pociemniały. – Starsi, co wykorzystują młodych, którzy chcą się tylko uczyć... Cóż, według mnie, takich ludzi powinno się wyrzucać z roboty. Niestety, zbyt często zamiast zwolnienia dostają awans. Nigdy mnie nie dziwiło, że Bóg przechylił kulę ziemską w chwili, gdy

kazał się jej obracać; jako że bardzo wiele z tego, co się tu dzieje, odzwierciedla ten przechyl.

A więc ten młodzieniec, ten Devane, spędził cztery lata gdzieś tam, niewykluczone, że w uniwersytecie w Georgetown, pragnąc posiąść wiedzę, która pozwala łapać złoczyńców, i akurat kiedy zaczął się rozwijać, przypadek zesłał go do pracy z parą detektywów-pączkożerców, a oni zrobili z niego chłopca na posyłki, przewożącego akta od Augusty po Waterville i przeganiającego gapiów z miejsc kolizji. No, może raz od wielkiego święta w nagrodę pozwalali mu zmierzyć odcisk buta albo zrobić zdjęcia śladów opon. Ale rzadko, powiedziałbym. Rzadko.

W każdym razie, Steffi, te dwie ozdoby wywiadu – mam nadzieję, że od dawna na zielonej trawce – przypadkiem przebywały w wiosce Tinnock w tym samym czasie, gdy na plaży w Hammock znaleziono zwłoki Colorado Kida. Prowadzili dochodzenie w sprawie „podejrzanych przyczyn” pożaru apartamentowca, jak pisujemy w gazecie, i mieli ze sobą swoją maskotkę, która w owym czasie zaczęła się już wyzybywać młodzieńczego idealizmu.

Gdyby trafili się chłopakowi dobrzy wywiadowcy z prokuratury – a spotykałem takich, mimo przekłętej biurokracji, która przysparza tylu problemów wymiarowi sprawiedliwości w Maine – albo gdyby jego dziekanat wysłał go do innego stanu, w którym akceptują studentów, pewnie byłby z niego taki gość, jakich widuje się w „CSI”.

– Lubię ten serial – powiedział Dave. – O wiele bardziej realistyczny niż „Murder, She Wrote”. Kto chce mufinka? Mam parę w spizarce.

Okazało się, że wszyscy, i opowiadanie zostało zawieszona na czas sprowadzenia mufinków wraz z papierowymi serwetkami. Gdy każdy miał już w ręce swojego plus serwetkę na okruszki, Vince nakazał Dave’owi podjąć opowieść.

– Bo ja – wyjaśnił – zaczynam już głądzić i będę nas tu trzymał do zmroku.

– Wydawało mi się, że dobrze ci idzie – zauważył Dave.

Vince klepnął się kościstą ręką w jeszcze bardziej kościstą pierś.

– Wzywaj pogotowie, Steffi, serce przestało mi bić.

– Nie będziesz się tak śmiał, jak ci się to naprawdę przydarzy, staruchu – rzucił Dave.

– Patrzcie no, jak to prycha tymi okruszkami – odparł Vince. – Człowiek rodzi się zaśliniony i zaśliniony umiera, mawiała moja mama. Mów, Dave, mów, tylko zrób nam przysługę i najpierw przełknij.

Dave usłuchał i popił mufinka wielkim łykiem coli. Stephanie pomyślała z nadzieją, że i jej układ trawienny będzie zdolny do takich wyzwań, kiedy osiągnie wiek Davida Bowiego.

– No tak – powiedział – George nie zawracał sobie głowy ogradzaniem plaży, bo to by właśnie przyciągnęło ludzi jak muchy do krowiego placka, ale ci dwaj debile z prokuratury to zrobili. Spytałem jednego, po co się wysilali, a on spojrział na mnie jak na wsiowego idiotę.

– No przecież to miejsce zbrodni, nie? – mówi.

– Może tak, może nie – ja na to. – Jak zabiorą zwłoki, czy zostaną tu jakieś dowody, których nie zwiął wiatr?

Bo do tego czasu wiatr ze wschodu nabrał siły, jak się patrzy. Ale oni się uparli, a muszę przyznać, że to zdjęcie ładnie wyglądało na pierwszej stronie gazety, nie, Vince?

– Ano pewnie, zdjęcie z taśmą z napisem MIEJSCE PRZESTĘPSTWA zawsze nakreca sprzedaż – zgodził się Vince. Połowa jego muffinka już znikła, a na serwetce nie było żadnych okruszków.

– Devane był obecny w chwili, gdy lekarz sądowy Cathcart przyglądał się zwłokom – zapiaszczonej ręce, drugiej dłoni i gardłu. Jednak w chwili, gdy podjechał karawan domu pogrzebowego z Tinnock, który przybył tu promem o dziewiątej, wywiadowcy zorientowali się, że chłopak nadal tam jest i jeszcze się czegoś, nie daj Boże, nauczy. Nie mogli do tego dopuścić, więc wysłali go po kawę i pączki dla siebie, Cathcarta i jego asystenta oraz dwóch kierowców karawanu.

Devane nie miał pojęcia, dokąd iść, a ja stałem już po niefajnej stronie taśmy, więc zabrałem go do piekarni Jenny. Potrwało to pół godziny, może trochę dłużej, głównie z powodu dojazdu, a ja zdążyłem się mniej więcej zorientować, co i jak, choć muszę mu przyznać, że był dyskretny. Nie skarżył, tylko powiedział, że nie uczy się tyle, na ile liczył. Widziałem, jaką robotę dostał, podczas gdy Cathcart dokonywał badania, więc resztę sam sobie dośpiewałem.

A kiedy wróciliśmy, było już po wszystkim. Zwłoki schowano do worka. Ale i tak jeden z tych wywiadowców, wielki mięśniak nazwiskiem O'Shanny, objechał Devane'a.

– Co tak długo, tyłki nam tu odpadają z zimna – i tak dalej, tratatata.

Devane zniósł to dobrze – nie narzekał, nie tłumaczył się, dobrze go wychowano, muszę przyznać – więc wtrąciłem się i powiedziałem, że pojechaliśmy i wróciliśmy, jak najszybciej się dało.

– Przecież nie chcieliby panowie, żebyśmy przekroczyli dozwoloną prędkość, prawda?

Miałem nadzieję, że się pośmieją i odpuszczą, no wiesz. Ale się nie udało. Ten drugi wywiadowca – nazywał się Morrison – powiedział:

– A ciebie kto pytał? Nie masz ogródka do skopania czy co tam jeszcze?

Tu jego kolega wreszcie się roześmiał, ale ten młodzieniec, który miał się uczyć medycyny sądowej, a tymczasem nauczył się tylko, że O'Shanny lubi kawę z mlekiem, a Morrison bez, zarumienił się aż po kołnierzyk.

Widzisz, Steffi, nie można dożyć mojego wieku, nie oberwawszy po drodze parę razy od kretynów obdarzonych odrobiną władzy, ale było mi żal Devane'a, który wstydził się za siebie i za mnie. Widziałem, że usiłuje mnie jakoś przeprosić, ale zanim zdołał znaleźć sposób i zanim ja zdołałem mu powiedzieć, że to nie jest konieczne, bo nic złego nie zrobił, O'Shanny wziął tacę z kawą i podał ją Morrisonowi, a potem odebrał mi dwie torby z ciastkami. Następnie kazał

Devane'owi przejść pod taśmą i przejąć torbę na dowody z osobistymi rzeczami zmarłego.

– Podpiszesz pokwitowanie – klaruje mu jak pięciolatkowi – i masz pilnować, żeby nikt torby nawet nie tknął, dopóki jej od ciebie nie wezmę. I sam też nie pchaj tam nosa. Wszystko jasne?

– Tak jest – mówi Devane i rzuca mi błady uśmiech.

Przyglądałem się, jak przejmuje od asystenta doktora Cathcarta torbę, która właściwie wygląda jak taka akordeonowa aktówka, które się czasami widuje w biurach. Schował pokwitowanie do przezroczystej kieszonki z przodu i... wiesz, do czego służy taki dokument, Steffi?

– Chyba tak. Gdy chodzi o przestępstwo kryminalne, jeśli przedmiot znaleziony na miejscu zbrodni zostanie wykorzystany jako dowód oskarżenia, można wykazać klarownie, w czym był posiadaniu od chwili jego znalezienia do przedstawienia go na sali sądowej jako dowód rzeczowy A.

– Ładnie powiedziane – przyznał Vince. – Powinnaś pisać książki.

– Bardzo śmieszne.

– Tak jest, oto nasz Vincent, prawdziwy Oscar Wilde – powiedział Dave. – Przynajmniej kiedy nie jest Oscarem Zrządą. W każdym razie, widziałem, jak młody pan Devane podpisuje pokwitowanie i chowa je do plastikowej koszulki na froncie torby. Potem odwrócił się i zaczął obserwować osiłków ładujących zwłoki do karawanu. Vince już poszedł, bo chciał zacząć pisać artykuł, i ja też się zabrałem, mówiąc tym, którzy zadawali mi pytania – do tej pory zebrało się ich całkiem sporo, ta głupia żółta taśma wabiła ludzi jak cukier mrówki – że za jedno dwadzieścia pięć centów, bo tyle w tamtych czasach kosztował „Islander”, będą mogli dowiedzieć się wszystkiego.

No więc wtedy po raz ostatni widziałem Paula Devane'a, który stał i przyglądał się tym dwóm byczkom, ładującym zmarłego do karawanu. Ale przypadkiem dowiedziałem się, że Devane nie posłuchał zakazu O'Shanny'ego i zajrzał do torby na dowody, bo zadzwonił do mnie do „Islandera” jakieś półtora roku później. Porzucił już rojenia o medycynie sądowej i wrócił na studia prawnicze. Tę zmianę kursu, na dobre czy na złe, zawdzięczał wywiadowcom O'Shanny'emu i Morrisonowi, ale nadal był to ten sam Paul Devane, który zrobił z niezidentyfikowanych zwłok z plaży w Hammock Colorado Kida i naprawdę umożliwił policji jego identyfikację.

– A myśmy na tym skorzystali – dodał Vince. – Głównie dlatego, że obecny tu Dave Bowie kupił chłopakowi pączka i dał mu coś, czego nie dostaniesz za pieniądze – zrozumienie i trochę współczucia.

– No, tu trochę przesadziłeś – powiedział Dave, poprawiając się w krześle. – Spędziłem z nim nie więcej niż pół godziny. No, może trzy kwadransy, jeśli doliczyć czas, gdyśmy stali

w kolejce w piekarni.

– Czasami to wystarczy – wtrąciła Stephanie.

– Ano tak, może czasami tak, i nic w tym złego. Jak myślicie, ile czasu trzeba, żeby człowiek udławił się kawałkiem mięsa i odszedł na zawsze?

Żadne nie znalazło odpowiedzi. Na wodach cieśniny jacht jakiegoś bogatego letnika zaryczał zarozumiale, zbliżając się do portu w Tinnock.

– Zostawmy na razie Paula Devane’a w spokoju – zaproponował Vince. – Dave za chwilę zreferuje całą resztę. A ja powinienem ci opowiedzieć najpierw o flakach.

– Aha – dodał Dave. – To nie jest historia, ale gdyby była, ten kawałek powinien się znaleźć dokładnie w tym miejscu.

– Nie myśl sobie czasem, że Cathcart natychmiast wykonał sekcję, bo tak nie było – podjął Vince. – W pożarze, który ściągnął nam na głowę O’Shanny’ego i Morrisona, zginęły dwie osoby i one były pierwsze w kolejce. Nie dlatego, że zmarły pierwsze, ale ponieważ były ofiarami morderstwa, a nieznajomy z plaży wyglądał na ofiarę nieszczęśliwego wypadku. Zanim Cathcart zabrał się do niego, wywiadowcy zdążyli już wrócić do Augusty.

Byłem obecny przy sekcji zwłok, bo w tamtych czasach ja jeden w całej okolicy mogłem pełnić funkcje kogoś w rodzaju zawodowego fotografa, a oni chcieli „śpiące zdjęcie”. To termin pochodzenia europejskiego i oznacza zdjęcie niezbyt drastyczne, takie, że można je opublikować w gazetach. Czyli trup ma wyglądać, jakby drzemał.

Stephanie była jednocześnie zainteresowana i przejęta obrzydzeniem.

– Udało się?

– Nie – powiedział Vince. Po czym dodał: – No... może dziecko by się nabrało. Albo gdyby ktoś spojrział przelotnie, jednym okiem. To zdjęcie trzeba było zrobić przed sekcją, bo Cathcart uznał, że z powodu zablokowanego gardła zmarłego będzie musiał szeroko rozewrzeć mu szczęki.

– I baliście się, że już nie będzie wyglądał na śpiącego, z podwiązaną brodą? – dodała Stephanie, uśmiechając się wbrew woli. To straszne, że coś takiego ją śmieszyło, ale to naprawdę było śmieszne; jakaś odrażająca, zboczona istota w jej głowie uparła się, by wyświetlać jeden koszmar obraz za drugim.

– Masz rację – zgodził się Vince, i także się uśmiechnął. Dave też. Więc i oni musieli być zboczeni. Dzięki Bogu. – Wyglądałoby to tak, jakby trupa rozboląły zęby.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Stephanie pomyślała, że kocha tych dwóch starych pierników, naprawdę ich kocha.

– Trzeba się śmiać z kostuchy – powiedział Vince, biorąc szklanekę z balustrady. Upił łyk i odstawił colę. – Zwłaszcza jak się jest w moim wieku. Wyczuwam tę cholereę za każdymi drzwiami, a po zgaszeniu światła czuję jej oddech na poduszce obok, tam gdzie kładły głowy moje żony, niech Bóg je obie ma w swojej opiece.

Trzeba się śmiać z kostuchy.

– No dobrze, Steffi, więc zrobiłem portretowe zdjęcia – „śpiące” – i wyszły tak, jak przypuszczasz. W najlepszym razie można było pomyśleć, że gość odsypia ciężkie pijaństwo

albo że jest w sypialni. I to właśnie zdjęcie opublikowaliśmy po tygodniu. Zamieścili je także w „Daily News” w Bangor, a także w gazetach w Ellesworth i Portland. Oczywiście nic to nie dało, znajomi zmarłego nie zaczęli dzwonić, i po jakimś czasie okazało się, że to nic dziwnego. Tymczasem Cathcart zrobił, co do niego należy, a że te dwa ówki z Augusty wróciły, gdzie ich miejsce, nie miał nic przeciwko mojej obecności, pod warunkiem że opublikuję tylko to, na co mi zezwoli. Obiecałem, że oczywiście tak będzie, i oczywiście tak było. – Przede wszystkim wyjął ten mięsny korek, który doktor Robinson dostrzegł w gardle gościa.

– Oto przyczyna zgonu, Vince – powiedział, a udar (który odkrył w długi czas po tym, jak wyszedłem, żeby złapać prom) nie odwiódł go od tego przekonania. I dodał, że gdyby w pobliżu był ktoś, kto wykonałby zabieg Heimlicha, albo gdyby denat sam go potrafił wykonać, nie skończyłby na metalowym stole z rynkami po bokach.

Dalej: zawartość żołądka numer jeden, czyli to, co znajduje się na wierzchu. Ta nocna przegryzka nawet nie zaczęła być trawiona, kiedy nasz nieznajomy zmarł i wszystkie funkcje jego organizmu ustały. Stek. W sumie może z sześć albo siedem kęsów, dobrze przeżutych. Cathcart uznał, że jest tego z piętnaście deko.

Następnie zawartość żołądka numer dwa – mówimy tutaj o kolacji. Było to już solidnie... no, nie chcę się tu wdawać w szczegóły, powiedzmy tylko, że proces trawienia trwał długi czas, więc doktor Cathcart mógł orzec z całą pewnością i bez skomplikowanych analiz, że gość zjadł na kolację jakąś rybę, pewnie z sałatą i frytkami, na sześć lub siedem godzin przed śmiercią.

– Żaden ze mnie Sherlock Holmes – mówię – ale stać mnie na dalej idące wnioski.

– Naprawdę? – on na to, dość sceptycznie.

– Ano pewnie. Uważam, że zjadł kolację u Curly’ego, w „Jan’s Wharfside” albo u Yanko na Moose-Lookit.

– Dlaczego akurat tam, skoro w promieniu trzydziestu kilometrów jest pewnie z pięćdziesiąt restauracji, gdzie serwuje się ryby, nawet w kwietniu? – pyta. – Dlaczego nie w „Grey Gull”, na przykład?

– Bo w „Grey Gull” nie zniżyliby się do serwowania ryby z frytkami – odpowiadam – a on to właśnie zjadł.

No i, Steffi – przez całą sekcję trzymałem się dzielnie, ale wtedy zrobiło mi się zdecydowanie niedobrze.

– Te trzy knajpy, które wymieniłem, sprzedają ryby z frytkami – dodałem – a jak rozciąłeś mu żołądek, od razu poczułem ocet.

I tu musiałem polecieć do jego małej łazienki i zwymiotować.

Ale miałem rację. Tego wieczoru wywołałem moje „sypialne zdjęcia”, a następnego dnia zacząłem je pokazywać w knajpkach, gdzie sprzedają rybę z frytkami. U Yanko go nie rozpoznali, ale dziewczyna od posiłków na wynos w „Jan’s Wharfside” od razu go sobie

przypomniała. Powiedziała, że późnym popołudniem zamówił zestaw – ryba z frytkami i cola albo cola light, tego już nie pamiętała. Spytałem, czy coś mówił, a ona, że nie, tylko „proszę” i „dziękuję”. Zainteresowałem się, czy zauważyła, dokąd poszedł po skończonym posiłku, który spożył około wpół do szóstej, ale zaprzeczyła.

Spojrzał na Stephanie.

– Podejrzewam, że pewnie poszedł na przystań, żeby złapać prom o szóstej na Moosie. To by się zgadzało.

– Aha, mnie też się tak zdawało.

Stephanie wyprostowała się, jakby coś jej przyszło do głowy.

– Był kwiecień. Połowa kwietnia na wybrzeżu Maine, a kiedy go znaleziono, nie miał płaszcza. Czy w „Jan’s” był w płaszczu?

Obaj starsi panowie rozpromienili się, jakby właśnie rozwiązała skomplikowane równanie. Ale ich zadaniem – nawet na skromnym poziomie „Weekly Islandera” – było nie tyle rozwiązywanie, ile wskazywanie na to, co należy rozwiązać.

– Dobre pytanie – oświadczył Vince.

– Cudowne pytanie – poprawił go Dave.

– Odkładałem tę część opowieści na później, ale skoro nie ma tu właściwie prawdziwej historii, to odkładanie najlepszych kawałków na potem nie ma sensu... a jeśli chcesz odpowiedzi, kochaneczko, to sklepik zamknięty. Kelnerka tego nie pamiętała, a inni w ogóle faceta nie zauważyli. Przypuszczam, że w pewnym sensie musimy się uznać za szczęściarzy; gdyby stanął przed ladą w połowie lipca, kiedy kłębią się tu miliony ludzi, a wszyscy domagają się ryby z frytkami, bułki z sałatką z homara i lodów śmietankowych, to dziewczyna nie zapamiętałaby go w ogóle, chyba że zdjąłby spodnie i się na nią wypiął.

– A może i wtedy nie – dodała Stephanie.

– Święta prawda. No więc jego samego zapamiętała, ale nie to, czy był w płaszczu. Nie cisnąłem jej za bardzo, bo gdybym się upierał, zmyśliłaby cokolwiek, żeby mi zrobić przyjemność... albo pozbyć się mnie w cholerę. Powiedziała:

– Wydaje mi się, że miał na sobie jasnozieloną kurtkę, ale mogę się mylić.

I może się naprawdę myliła, ale wiesz... mam wrażenie, że nie. Że naprawdę miał na sobie taką kurtkę.

– Więc gdzie się podziała? – spytała Stephanie. – Czy znaleziono takie okrycie?

– Nie – powiedział Dave. – Może go w ogóle nie było... Choć nie mam bladego pojęcia, co można robić w lodowatą kwietniową noc na wybrzeżu bez okrycia.

Stephanie odwróciła się do Vince’a, nagle z tysiącami pytań, wszystkimi niecierpiącymi zwłoki, żadnym niesformułowaniem do końca.

– Czemu się uśmiechasz, kochanie? – spytał Vince.

– Nie wiem. – Zamyśliła się. – Wiem. Mam tak cholernie dużo pytań, że nie wiem, które zadać najpierw.

Obaj ryknęli śmiechem. Dave wyciągnął nawet z kieszeni wielką chustkę do nosa i otarł sobie oczy.

– A to ci dopiero! – wykrzyknął. – Proszę siadać! Coś ci powiem, Steff: wyobraź sobie, że ciągniesz losy na jesiennej wyprzedaży dla pań. Zamknij oczy i wybierz coś ze szklanej kuli.

– Dobrze – powiedziała, i choć nie postąpiła dokładnie tak, była tego bliska. – Co z odciskami palców zmarłego? I jego uzębieniem? Myślałam, że jeśli chodzi o identyfikację zmarłych, to właściwie niezawodne sposoby.

– Większość osób tak myśli i pewnie tak jest – odparł Vince – ale musisz pamiętać, że to był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty. – Ciągłe się uśmiechał, lecz oczy miał poważne. – Przed rewolucją komputerową i na długo przed Internetem, tym cudownym narzędziem, którzy młodzi, tacy jak ty, uważają za coś naturalnego. W roku osiemdziesiątym można było sprawdzić odciski palców i zdjęcia dentystyczne tego, kogo policjanci nazywają NN, z danymi osoby, która mogłaby ewentualnie być naszym denatem, ale porównywanie ich z danymi wszystkich poszukiwanych przestępców na wszystkich posterunkach zajęłoby lata, a co dopiero z danymi wszystkich osób, których zaginięcie zgłasza się co roku w Stanach Zjednoczonych? Nawet gdyby zawęzić listę do mężczyzn w wieku trzydziestu, czterdziestu lat. Niemożliwe, kochanie.

– Ale myślałam, że nawet wtedy istniała gdzieś baza danych, która...

– Nie przypuszczam. A jeśli tak, to nie sądzę, żeby znajdowały się w niej odciski palców naszego nieznajomego.

– W każdym razie, wstępnej identyfikacji nie dokonywało się na podstawie odcisków palców czy zdjęć dentystycznych – dodał Dave. Splótł palce na pokażnej piersi i wydawał się niemal pysznić swą tuszą w popołudniowym słońcu, już zachodzącym, lecz nadal dającym ciepło. – To się chyba nazywa przejść do sedna.

– Więc jak go zidentyfikowano?

– Tu musimy wrócić do Paula Devane’a – powiedział Vince – a lubię do niego wracać, bo, jak powiedziałem, to temat na prawdziwą historię, a opowiadanie historii to moja działka. Mój konik, jak powiedzielibyśmy w dawnych, bardzo dawnych czasach. Devane jest jakby małym Horatio Algerem, małym, lecz to naprawdę krzepiące. Uczciwością i pracą ludzie się bogacą.

– Módl się i pracuj, a garb ci sam wyrośnie – podsunął Dave.

– Jak sobie chcesz – odparł spokojnie Vince. – Jak tylko sobie chcesz. Devane odjeżdża z tymi dwoma głupimi gliniarzami, O’Shannym i Morrisonem, gdy tylko ci dostali od Cathcarta wstępny raport o ofiarach pożaru apartamentowca, bo ni cholery nie obchodził ich jakiś człowiek, który przypadkiem udławił się na śmierć na wyspie Moose-Lookit. Tymczasem Cathcart zajmuje się grzebaniem we flakach anonimowych zwłok, przy pomocy waszego uniżonego sługi. Na

akcie zgonu widnieje: „śmierć przez zadławienie” czy coś w tym rodzaju. W gazetach ukazuje się moja „śpiąca fotka”, co nasi wiktoriańscy przodkowie nazywali bardziej precyzyjnie „portretem pośmiertnym”. I nikt nie dzwoni do prokuratury ani na policję w Auguście, by zgłosić, że to jego zaginiony ojciec, wuj czy brat.

W domu pogrzebowym w Tinnock trzymają go w chłodni przez sześć dni – prawo tego nie wymaga, ale przekonasz się, Steffi, że jak wiele podobnych rzeczy, jest to przyjęty zwyczaj. Znają go wszyscy pracownicy branży pogrzebowej, nawet jeśli jego korzenie nie są dla nich jasne. Pod koniec tego okresu – a nasze zwłoki nadal są anonimowe i nikt się po nie nie zgłasza – Abe Carver wykazuje się inicjatywą i balsamuje je, po czym umieszcza w krypcie należącej do domu pogrzebowego na cmentarzu w Seaview...

– Ten fragment wydaje się dość obrzydliwy – wtrąciła Stephanie. W wyobraźni zobaczyła z jakiegoś powodu owego człowieka nie w trumnie (choć na pewno nie odmówiono mu jakiegś taniej skrzynki), lecz leżącego wprost na kamiennej płycie, przykrytego całunem. Ot, bezpańska przesyłka na poczcie zmarłych.

– Ano, może ździebełko obrzydliwy – przyznał spokojnie Vince. – Mam mówić dalej?

– Jeśli teraz przestaniesz, zabiję cię.

Skinął głową, bez uśmiechu, lecz zadowolony. Nie wiedziała, skąd to wie, ale wiedziała.

– Przeleżał tam całe lato i pół jesieni. Potem, gdy nadszedł listopad, a po zwłoki nadal nikt się nie zgłaszał i nikt ich nie rozpoznał, postanowiono go pogrzebać. Zanim ziemia zamarźnie i będzie trudno kopać, rozumiesz.

– Rozumiem – powiedziała cicho. I rozumiała. Tym razem nie wyczuła telepatii między dwoma staruszkami, ale może ta jednak działała, bo Dave podjął opowiadanie historii (o ile można ją było nazwać historią) nieponaglany przez naczelnego „Islandera”.

– Devane przetrzymał trzymiesięczną praktykę z zaciśniętymi zębami. Pewnie jeszcze na jej zakończenie podarował O’Shanny’emu i Morrisonowi po krawacie albo coś w tym stylu, bo mówię ci, Stephanie, to był twardy zawodnik. Ale jak tylko skończył, odniósł dokumenty do tego swojego uniwersytetu – chyba mówił, że w Georgetown, ale głowy bym nie dał – i zapisał się na kursy przygotowawcze do studiów prawniczych. I gdyby nie dwa fakty, pan Paul Devane w tym miejscu mógłby opuścić naszą historię – która, jak mówi Vince, wcale nie jest historią, może z wyjątkiem tego fragmentu. Pierwszym z tych faktów jest to, że Devane zajrzał jednak do torby na dowody, gdzie znajdowały się osobiste rzeczy naszego nieznanego. Drugim zaś to, że zakochał się w jednej dziewczynie, a ta dziewczyna zaprosiła go do domu, żeby poznać go z rodzicami, co dziewczyny mają w zwyczaju, gdy sytuacja staje się poważna, a ojciec tej dziewczyny miał przynajmniej jeden nałóg, który wówczas był znacznie bardziej powszechny niż dziś. Palił papierosy.

Umysł Stephanie, bardzo precyzyjny instrument (obaj staruszkowie o tym wiedzieli),

natychmiast wyświetlił paczkę papierosów, która wypadła na piasek, gdy zmarły się przewrócił. Johnny Gravlin (obecnie burmistrz) podniósł ją i schował do kieszeni nieznajomego. A potem coś Stephanie olśniło – to nie był błysk, tylko oślepiający wybuch. Drgnęła jak ukłuta. Jedna z jej stóp uderzyła w szklanekę i przewróciła ją. Cola rozlała się z sykiem po zniszczonych deskach ganku i ściekła pomiędzy nimi na kamienie i chwasty daleko w dole. Staruszkowie nie zwrócili na to uwagi. Potrafili rozpoznać stan objawienia i obserwowali go z zainteresowaniem i zadowoleniem.

– Banderola! – prawie wrzasnęła dziewczyna. – Na każdej paczce jest banderola!

Obaj zaczęli bić brawo, cicho, lecz szczerze.

– Pozwól sobie powiedzieć, co ujrzał młody pan Devane, kiedy mimo zakazu zdecydował się zerknąć na dowody – rzekł Dave. – Nie wątpię, że zajrzał tam bardziej na złość tym dwóm niż z przekonania, że znajdzie coś cennego w tak skromnej garstce przedmiotów. Przede wszystkim była tam obrączka NN – zwykle złote kółko, bez wygrawerowanego napisu, nawet bez daty.

– Nie zostawili jej na... – Zauważyła, jak obaj na nią patrzy, i zrozumiała, że to, co chciała powiedzieć, jest niemądre. Gdyby zmarłego zidentyfikowano, obrączka musiałaby zostać zwrócona. Dopiero wówczas można by go było złożyć do grobu z obrączką na palcu, oczywiście jeśli życzyła sobie tego jego rodzina. Ale do tego czasu stanowiła dowód rzeczowy i tak ją traktowano.

– Nie – powiedziała. – Oczywiście, że nie. Jestem głupia. Ale... gdzieś musiała być jakaś pani NN. Albo pani Kid. Tak?

– Tak – potwierdził Vince Teague dość ponuro. – I znaleźliśmy ją. Po pewnym czasie.

– A małe NN-ki? – spytała Stephanie, gdyż nieznajomy był akurat w odpowiednim wieku, by posiadać całe ich stadko.

– Nie wdawajmy się w to w tej chwili, jeśli łaska – powstrzymał ją Dave.

– Och. Przepraszam.

– Nie ma za co przeproszać – dodał z lekkim uśmiechem. – Tylko nie chcę tracić wątku. Łatwiej mówić, kiedy brak... jak byś to nazwał, Vincent?

– Myśli przewodniej – odezwał się Vince. On także się uśmiechał, ale jego spojrzenie błędziło gdzieś daleko.

Stephanie zaczęła się zastanawiać, czy spowodowała to wzmianka o małych NN-kach.

– Właśnie, zero myśli przewodniej – zgodził się Dave. Zastanawiał się chwilę, po czym dowiedział, jak daleki był od utraty wątku, wyliczając szybko na palcach: – W torbie na dowody znajdowała się obrączka zmarłego, siedemnaście dolarów w banknotach dziesięcio, pięcio i dwudolarowych – oraz drobne, łącznie mniej więcej dolar. Ponadto, powiedział Devane, jedna moneta nieamerykańska. Według niego, widniały na niej rosyjskie napisy.

– Rosyjskie! – zdumiała się Stephanie.

– Cyrylica – mruknął Vince.

Dave ciągnął dalej.

– Była też rolka dropsów i paczka gumy do żucia Big Red, z brakującym jednym listkiem. Dalej pudełko zapalek z reklamą znaczków – na pewno znasz te pudełka, rozdają je w każdym spożywczaaku – a Devane powiedział, że na drasce widniał ślad po jednej zapalce, jasny, różowy. Oraz paczka papierosów, otwarta, w której brakowało jednego lub dwóch papierosów. Devane uważał, że jednego, co potwierdzało pudełko zapalek z jednym śladem na drasce.

– A portfela nie było – powiedziała Stephanie.

– Ano nie.

– I żadnych dokumentów.

– Żadnych.

– Czy brano pod uwagę, że ktoś zabrał panu NN ostatni kawałek steku i portfel? – spytała i wyrwał się jej cichy chichot, zanim zdołała zasłonić usta.

– Steffi, braliśmy pod uwagę to i wszystko inne – odparł Vince. – Włącznie z pomysłem, że zrzuciły go na plażę Światła z Wybrzeża.

– Rok i cztery miesiące po tym, jak Johnny Gravlin i Nancy Arnault znaleźli gościa – podjął Dave – Paul Devane dostał zaproszenie na weekend w domu przyjaciółki w Pensylwanii. Myślę, że wyspa Moose-Lookit, plaża w Hammock i NN interesowały go wówczas najmniej na świecie. Powiedział, że wybierał się ze swoją przyjaciółką do kina czy gdzieś tam. Rodzice byli w kuchni, kończyli zmywać po kolacji, i choć Paul proponował pomoc, został wygnany do salonu pod pozorem, że nie wie, gdzie odstawiać talerze. Więc siedział, oglądał to, co akurat szło w telewizji, i przypadkiem spojrzął na fotel taty misia, a tam, na stoliku, tuż koło programu telewizyjnego taty misia i popielniczki taty misia, leżała paczka szluczków taty misia.

Zrobił pauzę, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Śmieszne, jak to się czasami samo składa – człowiek aż się dziwi, że tak często nie chce się układać. Gdyby tamta paczka leżała odwrócona w inną stronę – górą do Paula, a nie spodem – NN pozostałby NN-em i nie stałby się Colorado Kidem, a potem panem Jamesem Coganem z Niderland, miasteczka na zachód od Boulder. Ale paczka była zwrócona spodem i Paul zobaczył banderolę. Znak akcyzy był odbity pieczętką, jak na poczcie, a to skojarzyło mu się z paczką papierosów z dowodów rzeczowych.

Widzisz, Steffi, jeden z nadzorców Paula Devane’a – wyleciało mi z głowy, czy O’Shanny, czy Morrison – był palaczem, i wśród innych obowiązków Paula znajdowało się kupowanie sporych ilości cameli, a choć one także miały pieczętkę, wydała mu się inna od tej na paczce wśród dowodów rzeczowych. Przypomniało mu się, że pieczętka na papierosach ze stanu Maine była odbita tuszem, jak te, które odbijają ci na ręce na małomiasteczkowych tańcach albo... nie wiem...

– Na Pikniku z Tańcami Gernerda? – podsunęła Stephanie z uśmiechem.

– Otóż to! – zawołał Dave i wycelował w nią pulchny palec jak pistolet. – No więc może to nie był ten przypadek, kiedy podskakujesz z wrzaskiem: „Eureka! Znalazłem!”, ale jego myśli wracały do tego tematu przez cały weekend, bo wspomnienie papierosów z torby na dowody nie dawało mu spokoju. Przede wszystkim wyglądało na to, że papierosy NN powinny nosić pieczętkę ze stanu Maine bez względu na to, skąd przybył.

– Dlaczego?

– Bo w paczce brakowało tylko jednego. Jaki palacz zużywa jednego dymka na sześć godzin?

– Umiarkowany?

– Człowiek, który ma przy sobie pełną paczkę i przez sześć godzin raz sięga po jednego papierosa, to nie umiarkowany palacz, lecz abstynent – wyjaśnił łagodnie Vince. – Ponadto Devane widział język zmarłego. Ja też – klęczałem przed nim, świecąc mu w usta wziernikiem doktora Robinsona. Był różowy jak landrynka. To nie był język palacza.

– A, i zapalka – odezwała się Stephanie w zamyśleniu. – Tylko jedna?

Vince Teague uśmiechnął się do niej. Uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Tylko jedna.

– I nie było zapalniczki?

– Nie było. – Powiedzieli to obaj i parsknęli śmiechem.

– Devane odczekał do poniedziałku – powiedział Dave – a kiedy te papierosy nie chciały mu wyjść z głowy – i nie wyszły nawet półtora roku dalej na rzece życia – zadzwonił do mnie i oświadczył, że według niego, istnieje słaba, słabiuteńka możliwość, że paczka papierosów NN nie pochodziła ze stanu Maine. Jeśli tak jest, pieczętka na dnie wykaże, skąd pochodzą. Wyraził powątpiewanie, czy NN palił, ale dodał, że nawet jeśli nie, to pieczętka może być poszlaką. Zgodziłem się z nim, byłem jednak ciekawy, dlaczego do mnie zadzwonił. Odpowiedział, że nie przyszedł mu do głowy nikt inny, kto mógłby być tym zainteresowany pomimo upływu długiego czasu. Miał rację, nadal mnie to interesowało – Vince’a również – i okazało się, że miał rację też co do tej pieczętki. No cóż, ja także nie palę i nigdy nie paliłem, i pewnie między innymi dlatego osiągnąłem szacowny wiek sześćdziesięciu pięciu lat w tak wspaniałej kondycji...

Vince chrząknął i machnął ręką. Dave ciągnął jak gdyby nigdy nic:

– ...więc wybrałem się do sklepu Bayside News i spytałem, czy mogę się przyjrzeć paczce papierosów. Spełniono moją prośbę. Zauważyłem, że istotnie, na spodzie ma pieczętkę, nie znaczek jak na liście. Wówczas zadzwoniłem do prokuratury generalnej i porozmawiałem z gościem nazwiskiem Murray z wydziału przechowywania dowodów i akt. Wspiąłem się przy tym na szczyty dyplomacji, bo w owym czasie te dwa ćwoki nadal pełniły służbę...

– Więc przegapiono potencjalnie ważną poszlakę, tak? – przerwała mu Stephanie. – Dzięki niej można by zawęzić poszukiwania NN do jednego stanu. Przecież to wprost biło po oczach.

– Aha – poświadczył Vince. – I ci dwaj w żaden sposób nie mogliby zwalić winy na praktykanta, bo wyraźnie mu powiedzieli, żeby nie wtykał nosa do torby na dowody. Ponadto kiedy wyszłoby na jaw, że ich nie posłuchał...

– ...byłby już poza ich zasięgiem – dopowiedziała.

– Właśnie. Ale i tak by im się nie oberwało. Pamiętaj, że prowadzili dochodzenie w sprawie morderstwa w Tinnock – dwie ofiary spalone żywcem – a NN był tylko ofiarą zadławienia.

– Mimo to... – zaczęła Stephanie nieprzekonana.

– Mimo to byli idiotami, i nie musisz się krępować, jesteś wśród przyjaciół – powiedział Dave z uśmiechem. – Ale „Islander” nie miał interesu w robieniu kłopotów tym dwóm detektywom. Wyjaśniłem to Murrayowi, zapewniając, że usiłuję się jedynie dowiedzieć, kim był ten biedny facet, bo całkiem możliwe, że gdzieś tam płacze po nim rodzina, która chciałaby wiedzieć, co się z nim stało. Murray powiedział, że oddzwoni, czego się właściwie spodziewałem, ale i tak gryzłem się przez całe popołudnie, że może powinienem to rozegrać inaczej. Bo mogłem; mogłem poprosić doktora Robinsona, żeby zadzwonił do Augusty, albo nawet namówić do tego Cathcarta, ale myśl o posłużeniu się nimi jakoś mi nie leżała. To pewnie prowincjonalne podejście, ale naprawdę uważam, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć

najlepszą polityką jest szczerłość. Tyle że martwiłem się, że to może być ten dziesiąty.

Ale w końcu okazało się, że wszystko gra. Murray oddzwonił zaraz po tym, jak uznałem, że się nie odezwie, i już wkładałem kurtkę, żeby iść do domu – czy nie tak to zwykle wygląda?

– Woda, której się pilnuje, nigdy się nie zagotuje – zauważył Vince.

– O Jezusie, poezja! Dajcie mi długopis, muszę to zapisać! – wykrzyknął Dave, uśmiechając się jeszcze szerzej. Ten uśmiech nie tylko odjął mu lat – wysłał je jednym kopem w kosmos, a Stephanie zobaczyła nagle chłopca, którym Dave niegdyś był. Potem znowu spoważniał, a chłopiec zniknął.

– Rozumiem, że w wielkich miastach dowody nieustannie giną, ale Augusta nie była chyba jeszcze aż tak duża, choć to stolica stanu. Sierżant Murray nie miał żadnych problemów ze znalezieniem torby z podpisem Paula Devane’a na pokwitowaniu; powiedział, że dotarł do niej dziesięć minut po naszej rozmowie. Reszta czasu upłynęła mu na usiłowaniu wydobywania od właściwej osoby zezwolenia na poinformowanie mnie o zawartości torby... co wreszcie się udało. Te papierosy to były winstony, a pieczętka na paczce wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał Paul Devane: przepisowy nadruk KOLORADO małymi czarnymi literkami. Murray powiedział, że przekaże te informacje do prokuratury generalnej i że będą wdzięczni za przedstawienie im wszelkich informacji o Colorado Kidzie, zanim je opublikujemy w gazecie. Tak go nazwał, więc pewnie można powiedzieć, że to sierżant Murray z wydziału przechowywania dowodów i akt ukuł ów przydomek. Wyraził także nadzieję, że jeśli dopisze nam szczęście i zidentyfikujemy faceta, wspomnimy o pomocy prokuratury. Wiesz, to mi się wydało wręcz słodkie.

Stephanie pochyliła się z błyszczącymi oczami, oczarowana.

– I co zrobiłeś? Jak postąpiłeś?

Dave otworzył usta, ale Vince położył mu rękę na ramieniu.

– A jak ty myślisz, kochanie, jak postąpiliśmy?

– Zaczęło się szkolenie? – spytała.

– Aha.

A ponieważ ujrzała w jego spojrzeniu i zaciśnięciu warg (bardziej w tym drugim), że mówi zupełnie poważnie, zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

– Zrobiliście... kopie „śpiących zdjęć”.

– Aha. Tak było.

– A potem... hmmm... wysłaliście je wraz z artykułem do... ilu gazet w Kolorado?

Uśmiechnął się, skinął głową i podniósł kciuk.

– Siedemdziesięciu ośmiu, panno McCann, i nie wiem, czy Dave też, ale ja byłem zdumiony, jak tanie okazało się wysłanie takiej ilości odbitek, nawet w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Nie doszliśmy nawet do stowy, włącznie ze wszystkimi opłatami.

– I oczywiście wszystko wpuściliśmy w koszta – dodał Dave, który pełnił także funkcję

księgowego. – Każdego centa. Zgodnie z prawem.

– Ile gazet zamieściło artykuł?

– Wszystkie, skurkowańce! – powiedział Vince i zdzielił się bezlitośnie po chudym udzie. – A jak! Nawet „Post” z Denver i „News” z Gór Skalistych! Bo wówczas była w nim tylko jedna tajemnica i przepiękna myśl przewodnia, rozumiesz?

Stephanie skinęła głową. To istotnie proste i piękne. A ona to dostrzegła.

Vince także pokiwał głową, rozpromieniony.

– Nieznany przybysz, być może z Kolorado, znaleziony na plaży wyspy w stanie Maine, dwa tysiące mil od domu! Ani słowa o steku stojącym w gardle, ani słowa o płaszczu, który mógł zdjąć jedna Bozia wie gdzie (albo którego w ogóle nie było), ani słowa o radzieckiej monecie w kieszeni! Tylko Colorado Kid, wersja podstawowa Niewyjaśnionej Tajemnicy, którą wszyscy oczywiście opublikowali, nawet te darmowe gazetki, które zamieszczają w większości przedruki.

– A dwa dni po tym, jak gazeta z Boulder puściła ten artykuł, pod koniec października osiemdziesiątego pierwszego – dodał Dave – zadzwoniła do mnie pewna pani, niejaka Arla Cogan. Mieszkała w Nederland, parę kroków w stronę gór od Boulder, a jej mąż zniknął w kwietniu zeszłego roku, zostawiając ją i syna, który w chwili jego zniknięcia miał pół roku. Powiedziała, że mąż ma na imię James, i choć nie potrafiła wyjaśnić, co mógł porabiać na wyspie w stanie Maine, osobnik ze zdjęcia w gazecie „Camera” bardzo go przypominał. Wprost wyjątkowo. – Zrobił pauzę. – Podejrzewam, że wiedziała, iż to nie przypadek, bo w tym miejscu zaczęła płakać.

Stephanie poprosiła, żeby Dave przeliterował imię pani Cogan. Kiedy wypowiedział je z silnym akcentem z Maine, usłyszała tylko mnóstwo „a” i „l” w środku.

Spełnił jej prośbę, po czym powiedział:

– Nie miała odcisków palców męża – no bo skąd, porzucone biedactwo – ale podała mi nazwisko jego dentysty i...

– Zaraz, zaraz! – zawołała Stephanie, rozkładając ręce jak policjant na skrzyżowaniu. – Ten Cogan... jak zarabiał na życie?

– Jako grafik w agencji reklamowej w Denver – powiedział Vince. – Widziałem potem jego prace i muszę przyznać, że był niezły. Nigdy by nie zyskał ogólnokrajowej sławy, ale gdybyś potrzebowała na gwałt rysunku, na którym kobieta dzierży rolkę papieru toaletowego niczym rekordowego pstrąga, Cogan był *numero uno*. Dojeżdżał do Denver dwa razy na tydzień, we wtorki i środy, na zebrania produkcyjne i konferencje. W pozostałe dni pracował w domu.

Stephanie przeniosła spojrzenie na Dave’a.

– Dentysta rozmawiał z Cathcartem, lekarzem sądowym. Tak?

– Prujesz jak rakieta, Steff. Cathcart nie miał rentgenowskich zdjęć zębów Kida, gdyż nie widział powodów, by wysłać zwłoki do szpitala okręgowego, gdzie można by zrobić takie zdjęcia, ale odnotował wszystkie wypełnienia plus dwie korony. Zgadzały się. Zdobył się nawet na inicjatywę i wysłał kopie odcisków palców zmarłego do policji w Nederland, która skierowała technika do domu Coganów, by znalazł tam odpowiednie ślady. Pani Cogan – Arla – powiedziała chłopakowi, że nic nie znajdzie, że wypucowała gabinet męża od dziobu po burte, kiedy wreszcie przyznała sama przed sobą, że Jim nie wróci, bo albo ją zostawił, w co nie mogła uwierzyć, albo przydarzyło mu się coś złego, w co właśnie zaczynała wierzyć.

Technik odpowiedział, że jeśli Cogan spędził „znaczną ilość czasu” w pokoju, który był jego gabinetem, to odciski palców nadal tu są. – Dave zrobił pauzę, westchnął, przesunął dłoń po resztkach włosów. – I były, a wówczas poznaliśmy prawdziwą tożsamość NN, znanego także jako Colorado Kid: James Cogan, wiek czterdzieści dwa lata, zamieszkały w Nederland w stanie Kolorado, mąż Arli Cogan, ojciec Michaela Cogana, wiek pół roku w dniu zniknięcia ojca, dwa lata w chwili jego identyfikacji.

Vince wstał i przeciągnął się, wgniatając obie pięści w krzyż.

– Może wejdziemy do środka, co wy na to, ludziska? Robi się troszkę zimno, a zostało jeszcze ździebko do opowiedzenia.

Kolejno skorzystali z łazienki we wnęce za starą maszyną offsetową, której już nie używali (od 1989 gazetę drukowano w Ellsworth). Kiedy przyszła kolej na Dave'a, Stephanie nastawiła kawę. Jeśli historia-niehistoria miała się ciągnąć jeszcze kolejną godzinę (a na to wyglądało), wszyscy chętnie się napiją.

Kiedy znowu się zebrali, Dave zwrócił nos w stronę małej kuchenki, wciągnął zapach kawy i z aprobatą pokiwał głową.

– Lubię kobiety, które nie nazywają kuchni izbą tortur tylko dlatego, że muszą zarabiać na życie.

– Dokładnie to samo myślę o mężczyznach – odparła Stephanie, a kiedy się roześmiała (znowu jej się udało, drugi raz jednego popołudnia – rekord), skinęła w stronę ogromnej starej maszyny. – To raczej to coś wygląda mi na maszynę do tortur.

– Wygląda gorzej niż kiedyś – odparł Vince – ale ta, którą mieliśmy przedtem, to był dopiero koszmar. Jeśli nie uważałaś, mogła ci obciąć rękę, a jeśli uważałaś, przynajmniej ją napocząć. Na czym to stanąłem?

– Na tym, jak pewna pani dowiedziała się, że jest wdową – przypomniała Stephanie. – Zakładam, że przyjechała po zwłoki?

– Aha – przytaknął Dave.

– A jeden z was przywiózł ją tutaj z lotniska w Bangor?

– Jak sądzisz, kochanie?

Nie było to pytanie, nad którym musiała się długo zastanawiać. Pod koniec października lub w początkach listopada 1981 Colorado Kid musiał być dla policji stanu Maine bardzo odległą historią... a jako ofiara zadławienia stanowił w ogóle sprawę niewartą wzmianki. Po prostu niezidentyfikowane zwłoki i tyle.

– Oczywiście, że tak. Wy dwaj okazaliście się jedynymi przyjaznymi jej duszami w całym stanie Maine. – Ta myśl w dziwny sposób uświadomiła jej, że Arla Cogan była (i niemal z całą pewnością nadal jest) prawdziwą osobą, a nie pionkiem z detektywistycznej rozgrywki w kolejnym odcinku „Murder, She Wrote” Agathy Christie.

– Ja ją przywiozłem – powiedział cicho Vince. Siedział pochylony, spoglądając na swoje dłonie, splecione poniżej kolan i sękate niczym dryfujące po morzu gałęzie. – Nie wyglądała tak, jak oczekiwałem. Wymyśliłem ją sobie, bazując na niesłusznym założeniu. Powinienem mieć więcej rozumu. Teraz co do Colorado Kida. Pracuję w dziennikarstwie od sześćdziesięciu pięciu lat – tyle, ile żyje ten tu mój współnik zbrodni, a nie jest już młodzieniaszkiem, za którego się uważa – i przez ten czas widywało się też różne zwłoki. Większość nie ma nic wspólnego z majaczeniami romantycznych poetów: „Widziałem dziewczę piękne i blade...”. Martwe ciała są

brzydkie, po prostu i zwyczajnie; wiele nawet nie przypomina ludzi. Ale w wypadku Colorado Kida tak nie było. Wyglądał niemal tak, że mógłby się stać tematem owych poetyckich uniesień pana Poe. Zrobiłem zdjęcie Kida przed sekcją, oczywiście, pamiętasz, i jeśli przyglądałaś mu się dłużej niż sekundę lub dwie, wyglądał na stuprocentowego nieboszczyka (przynajmniej według mnie), ale fakt, że jednocześnie był dziwnie przystojny, z tymi szarymi policzkami, bladymi ustami i lawendowym cieniem na powiekach.

– Brrr – mruknęła Stephanie, choć mniej więcej wiedziała, o czym mówi Vince i rzeczywiście, przyszedł jej do głowy pewien wiersz Poego, ten o utraconej Lenorze.

– Ano tak, według mnie, to była prawdziwa miłość – powiedział Dave i wstał, by nalać kawy.

Vince Teague wlał do kawy mniej więcej pół kartonu mleka i podjął opowieść. Uśmiechał się dość ponuro.

– Usiłuję tylko powiedzieć, że wymyśliłem sobie jakąś bladą i ciemnowłosą piękność. A zobaczyłem pyzată rudaskę z masą piegów. Ani przez minutę nie wątpiłem w jej ból i strapienie, ale była raczej z tych, co to z nerwów tyją, a nie chudną. Jej rodzice przyjechali z Omahy, Des Moines czy innego podobnego miejsca, żeby przypilnować dziecka, i nigdy nie zapomnę, jaka samotna mi się wydała, kiedy wyłoniła się z korytarza na lotnisku, tuląc podręczną torbę do pulchnej piersi, zamiast trzymać ją normalnie. Nie była taka, jak się spodziewałem, w ogóle nie przypominała Lenory...

Stephanie drgnęła i pomyślała: „Może telepatia zaczęła działać w trzy strony”.

– ...ale od pierwszej chwili wiedziałem, kogo mam przed sobą. Pomachałem ręką, a ona podeszła i spytała:

– Pan Teague?

Kiedy potwierdziłem, że ja to ja, odstawiła torbę, chwyciła mnie w objęcia i powiedziała:

– Dziękuję, że pan po mnie wyszedł. Dziękuję za wszystko. Nie mogę uwierzyć, że to on, ale kiedy patrzę na zdjęcie, to już wiem, że tak.

– Z lotniska do nas jest daleko – nikt o tym nie wie lepiej od ciebie, Steff – i mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowę. Przede wszystkim spytała mnie, czy wiem, co Jim robił na wybrzeżu Maine. Powiedziałem, że nie. Potem spytała, czy zameldował się w środę wieczorem w miejscowym motelu... – Urwał i spojrzał na Dave’a. – Dobrze mówię? W środę wieczorem? Dave kiwnął głową.

– Musiała spytać o środę, bo Johnny i Nancy znaleźli go w czwartek. Dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

– Że też to zapamiętałeś – zdziwiła się Stephanie.

Dave wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy zapadają mi w pamięć – powiedział – a zapominam, że miałem kupić chleb, i potem muszę wlec się do sklepu w deszcz.

Stephanie spojrzała na Vince’a.

– Chyba się nie zameldował w motelu, bo nie nazywalibyście go tak długo NN. Mógł podać zmyślone nazwisko, ale przecież nie NN.

Vince zaczął kiwać głową, jeszcze zanim skończyła.

– Po znalezieniu Colorado Kida Dave i ja przez trzy czy cztery tygodnie – oczywiście w czasie wolnym od pracy – przetrząsaliśmy motele, zataczając, jak by to ujął pan Yeats, „coraz szersze kręgi”, których środkiem była wyspa Moose-Lookit. W sezonie letnim to by było niemal

niemożliwe, sprawdzić te czterysta moteli, hoteli, domków do wynajęcia, pensjonatów i innych kwater, konkurujących ze sobą o pół dnia jazdy od promu w Tinnock, ale w kwietniu mieliśmy taryfę ulgową, bo połowa z nich była zamknięta od Dnia Dziękczynienia do końca maja. Pokazywaliśmy to zdjęcie wszędzie.

– I nic?

– Nic a nic – potwierdził Dave.

Stephanie spojrzała na Vince'a.

– Co powiedziała, kiedy ją o tym poinformowałeś?

– Nic. Była zdruzgotana. – Milczał przez chwilę. – Trochę popłakała.

– Nic dziwnego. Biedactwo – dodał Dave.

– A co ty zrobiłeś? – spytała Stephanie, skupiona wyłącznie na Vinsie.

– To, co do mnie należy – odparł bez wahania.

– Bo należysz do tych, którzy zawsze muszą wiedzieć.

Jego krzaczaste, rozwichrzone brwi uniosły się wysoko.

– Tak sądzisz?

– Tak. Tak sądzę. – I odwróciła się do Dave'a, szukając wsparcia.

– Chyba cię przejrzała, stary – powiedział Dave.

– Pytanie tylko, czy i ty do takich należysz, Steffi – rzekł Vince z krzywym uśmiechem. – Bo ja myślę, że tak.

– Jasne – rzuciła niemal od niechcienia. Wiedziała o tym od dawna, choć gdyby ktoś zadał jej to pytanie, zanim przybyła do redakcji „Islandera”, pewnie rozśmieszyłaby ją myśl, że w tak odludnym miejscu mogłaby zdecydować o pracy, jaką będzie wykonywać przez resztę życia. Ta Stephanie McCann, która niemal zdecydowała jechać do New Jersey zamiast na Moose-Lookit przy wybrzeżu Maine, wydawała się jej teraz inną osobą. Obcą.

– I co ci powiedziała? Co wiedziała?

– Tyle, że dziwna historia stała się jeszcze dziwniejsza.

– Opowiedz.

– Dobrze, ale uczciwie ostrzegam – tutaj kończy się myśl przewodnia.

Stephanie nie wahała się.

– Nieważne, mów.

– W środę, dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, Jim Cogan jak co tydzień wyszedł do pracy w agencji reklamowej Mountain Outlook w Denver. Miał ze sobą teczkę rysunków dla Sunset Chevrolet, jednej z wielkich miejscowych fabryk samochodów, która zamawiała w agencji tony reklam – bardzo cennego klienta. Cogan był jednym z czterech rysowników, pracujących od trzech lat dla Sunset Chevrolet, i wszystko wskazywało na to, że reklamodawca jest zadowolony z pracy Jima. Uczucie było odwzajemnione – Jim lubił pracować dla tej firmy. Pani Cogan powiedziała, że jego specjalnością były „panie Ojejku”. Spytałem, co to znaczy, a ona uśmiechnęła się i wyjaśniła, że to te ładne panie z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, przeważnie także z rękami przyłożonymi do policzków. Te rysunki miały mówić: „Ojejku, ależ okazja mi się trafiła w Sunset Chevrolet!”.

Stephanie parsknęła śmiechem. Widywała takie rysunki, przeważnie w darmowych ulotkach, rozdawanych w sklepach w Tinnock, po drugiej stronie cieśniny.

Vince kiwał głową.

– Arla też miała talent, ale do słów. Odmalowała nimi portret bardzo przyzwoitego człowieka, który kochał swoją żonę, dziecko i pracę.

– Czasami kochające oczy widzą tylko to, co chcą widzieć – zauważyła Stephanie.

– Taka młoda, a taka przytomna! – zawołał Dave, nie bez aprobaty.

– Ano tak, ale ma rację – powiedział Vince. – Tyle tylko, że rok i cztery miesiące to dość, żeby zdjąć różowe okulary. Gdyby coś było na rzeczy – niezadowolenie z pracy albo raczej jakiś skok w bok, co bardziej prawdopodobne – pewnie by zarejestrowała jakieś sygnały, a przynajmniej zaczęła coś podejrzewać, chyba żeby ten facet był niezwykle, niesłychanie ostrożny, bo przez ten rok i cztery miesiące rozmawiała ze wszystkimi jego znajomymi, przeważnie dwukrotnie, i wszyscy powtarzali jedno: lubił swoją pracę, kochał żonę i miał absolutnego świra na punkcie swojego synka. Ciągłe do tego wracała.

– On by nigdy nie zostawił Michaela – mówiła. – Wiem to na pewno. Czuję to sercem.

Vince wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Może jestem głupi, ale...”.

– Uwierzyłem jej.

– I nie był zniechęcony do pracy? – spytała Stephanie. – Nie chciał jej zmienić?

– Arla twierdziła, że nie. Powiedziała, że kochał ich domek w górach, miał nawet na drzwiach wejściowych tabliczkę z napisem KRYJÓWKA HERNANDA. Rozmawiała też z jednym rysownikiem, z którym współpracował przy reklamach dla Sunset Chevrolet, i którego znał od lat. Dave, pamiętasz jego nazwisko?

– George Rankin albo George Franklin – powiedział Dave. – Nie pamiętam dokładnie, akurat wyleciało mi z głowy.

– Nie upadaj na duchu, starszku. Nawet Willie Mays od czasu do czasu miał problemy z pamięcią, zwłaszcza pod koniec kariery.

Dave pokazał mu język.

Vince pokiwał głową, jakby takiego właśnie dziecinnego zachowania spodziewał się po swoim dyrektorze finansowym, po czym znowu zaczął snuć wątek narracji.

– Rysownik George, Rankin czy Franklin, powiedział Arli, że Jim właściwie osiągnął już szczyt swoich możliwości i należy do tych szczęśliwców, którzy nie tylko znają swoje ograniczenia, ale są z nich zadowoleni. Według George’a jedyną ambicją Jima było zostać pewnego dnia dyrektorem artystycznym Mountain Outlook. I, biorąc pod uwagę tę ambicję, nagła eskapada na wybrzeże Nowej Anglii wydaje się ostatnią z możliwych rzeczy, jakie mógłby zrobić.

– Ale Arla uważała, że właśnie tak było – odezwała się Stephanie. – Prawda?

Vince odstawił kawę i przesunął dłonią po białych włosach, i tak już dziko rozwichrzonych.

– Arla Cogan jest, jak my wszyscy, więźniem dowodów. Owej środy James Cogan opuścił dom rankiem, za piętnaście siódma. Zamierzał pojechać do Denver autostradą Boulder. Jego jedynym bagażem była teczka, o której już wspomniałem. Włożył tego dnia szary garnitur, białą koszulę, czerwony krawat i szary płaszcz. A, i czarne mokasyny.

– A zielonej kurtki nie miał?

– Nie. Ale z całą pewnością miał na sobie te szare spodnie, białą koszulę i czarne mokasyny, kiedy Johnny i Nancy znaleźli go martwego, opartego o kubeł na śmieci.

– A co z marynarką?

– Nie znaleziono jej. Krawata także nie – ale oczywiście kiedy mężczyzna zdejmuje krawat, w dziewięciu wypadkach na dziesięć wpycha go do kieszeni marynarki. Jestem gotów się założyć, że jeśli kiedyś znajdzie się szara marynarka, w kieszeni będzie krawat.

– Kwadrans po ósmej był już przy swojej desce – odezwał się Vince – i pracował nad reklamą do gazetki King Sooper.

– Co to jest?

– Sieć supermarketów, kochanie – wyjaśnił Dave.

– Mniej więcej kwadrans po dziesiątej – ciągnął Vince – rysownik George, Rankin bądź Franklin, ujrzał naszego Colorado Kida, zmierzającego ku windom. Cogan oznajmił, że idzie do małych delikatesów za rogiem na „prawdziwą kawę”, jak to ujął, i po sałatkę jajeczną na lunch, bo zamierzał zjeść go w pracy. Spytał George’a, czy mu czegoś nie kupić.

– To wszystko powiedziała ci Arla w drodze z Kinnock?

– Owszem. Wiozłem ją na rozmowę z Cathcartem i oficjalną identyfikację na podstawie fotografii – „To mój mąż, James Cogan” – a także podpisanie nakazu ekshumacji. Cathcart na nas czekał.

– W porządku. Przepraszam, że ci przerwałam. Mów.

– Nie przepraszaj za pytania, Stephanie, pytania to praca dziennikarza. W każdym razie George Rysownik...

– Rankin bądź Franklin – podsunął uczynnie Dave.

– Ano właśnie, ten sam, powiedział Coganowi, że kawę sobie daruje, ale odprowadził go do windy, rozmawiając o zbliżającym się przyjęciu na cześć odchodzącego na emeryturę gościa nazwiskiem Haverty, jednego z założycieli agencji. Impreza miała się odbyć w połowie maja i George Rysownik powiedział Arli, że jej stary bardzo się na nią cieszył. Zastanawiali się nad prezentem pożegnalnym dla Haverty’ego aż do przybycia windy, a potem Cogan wsiadł, mówiąc Rysownikowi George’owi, że muszą jeszcze o tym porozmawiać przy lunchu i spytać o zdanie kogoś innego – jakiejś kobiety, z którą pracowali. Rysownik George przyznał, że to dobry pomysł, Cogan pomachał mu, drzwi windy się zamknęły, i to właśnie była ostatnia osoba, która przypomniała sobie, że widziała Colorado Kida, kiedy był jeszcze w Kolorado.

– George Rysownik – powtórzyła niemal ze zdumieniem Stephanie. – Myślicie, że wszystko byłoby inaczej, gdyby George powiedział: „Poczekaj, tylko włożę płaszcz i pójde razem z tobą”?

– Trudno orzec – oświadczył Vince.

– A miał wtedy marynarkę? – spytała. – Cogan? Czy wychodząc, miał szarą marynarkę?

– Arla spytała, ale George Rysownik nie pamiętał. Wydawało mu się, że chyba nie. I pewnie miał rację. Te delikatesy naprawdę są za rogiem.

– Arla powiedziała też, że w budynku była recepcjonistka – wtrącił Dave – ale ona nie widziała ludzi wychodzących z wind. Tłumaczyła, że „pewnie musiała na chwileczkę odejść od biurka”. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – W powieściach kryminalnych to się nigdy nie zdarza.

Ale umysł Stephanie wychwycił coś innego i teraz nagle wydało jej się, że do tej pory zbierała okruszki, gdy tymczasem nieopodal czekała pieczeń. Uniosła lewy palec wskazujący i zatrzymała go koło policzka.

– George Rysownik pomachał Coganowi, czyli Colorado Kidowi, jakiś kwadrans po dziesiątej rano. A może raczej dwadzieścia po dziesiątej, gdy winda wreszcie przyjechała.

– Ano tak – potwierdził Vince. Przyglądał się jej z błyszczącymi oczami. Obaj z Dave’em się w nią wpatrywali.

Teraz Stephanie uniosła prawy palec wskazujący i zatrzymała go przy prawym policzku.

– A sprzedawczyni z „Jan’s Wharfside” w Tinnock twierdziła, że około wpół do szóstej zjadł rybę z frytkami przy stoliku z widokiem na morze.

– Ano tak – powtórzył Vince.

– Jaka jest różnica czasu między Maine i Kolorado? Godzina?

– Dwie – powiedział Dave.

– Dwie – powtórzyła, zamyśliła się i znowu powtórzyła: – Dwie. Więc kiedy rysownik

George widział Kida po raz ostatni, gdy drzwi windy się zamknęły, w Maine była już dwunasta w południe.

– Zakładając, że czas się zgadza – potwierdził Dave. Bo możemy tylko zakładać, prawda?

– Czy to możliwe? – spytała. – Czy mógł się tu dostać w takim czasie?

– Tak – powiedział Vince.

– Nie – powiedział Dave.

– Może – powiedzieli chórem, a Stephanie siedziała, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego, zbita z tropu, zapomniawszy o kawie.

– Kolejny powód, dla którego ta historia nie nadaje się do takich gazet, jak „Globe” – rzekł Vince po krótkiej pauzie na upicie łyku mleka z kawą i pozbieranie myśli. – Nawet gdybyśmy my byli gotowi z niej zrezygnować.

– A nie jesteście gotowi – wtrącił Dave z pewnym rozdrażnieniem.

– Nie jesteśmy – zgodził się Vince. – Ale gdybyśmy byli... Steffi, kiedy wielkomijska gazeta, jak „Globe” albo nowojorski „Times”, publikuje artykuł lub cykl artykułów, chce zamieścić wszystkie wyjaśnienia bądź przynajmniej je zasugerować, a czy mnie się to podoba? W życiu! Weź jakąkolwiek wielkomijską gazetę i co znajdziesz na pierwszej stronie? Pytania udające historie. Gdzie jest Osama bin Laden? Nie wiemy. Co prezydent robi na Bliskim Wschodzie? Nie wiemy, bo i on nie wie. Czy rynek się umocni, czy też polecą na pysk? Znawcy różnią się w poglądach. Czy jajka są zdrowe, czy nie? Zależnie od źródła. Nie znajdziesz nawet meteorologa, który ci powie, że wiatr północno-wschodni powieje z północnego wschodu, bo wszystkich już zlinchowano. A kiedy publikują artykuł o poprawie sytuacji mniejszości, chcieliby móc powiedzieć, że jeśli zrobisz to i to, około dwutysięcznego trzydziestego roku sytuacja się poprawi.

– A jeśli piszą o Niewyjaśnionych Tajemnicach – dodał Dave – pragną ci zasugerować, że Światła z Wybrzeża to najprawdopodobniej odbicia na chmurach, a Trucicielem z Kościelnego Pikniku była prawdopodobnie odrażona sekretarka. Ale gdyby się chcieli zająć tą wyjątkową sprawą...

– ...na której, tak się składa, ty trzymasz łapę... – wtrącił Vince z uśmiechem.

– ...co oczywiście jest skandalem, bez względu na to, co o tym myślisz – ciągnął Dave.

– Ale ja chętnie zostanę skandalistą – odparł Vince. Do diabła, zajmowałem się tą sprawą tak, że omal nie zagadałem telefonu na śmierć, i chyba mam prawo zachowywać się skandalicznie.

– Mój ojciec mawiał, że możesz kroić krede do woli, a sera z niej i tak nie zrobisz – oznajmił Dave, uśmiechając się lekko.

– To prawda, ale pozwól mi się trochę pobawić. Powiedzmy, że drzwi windy zamknęły się dwadzieścia po dziesiątej miejscowego czasu, dobrze? I powiedzmy, tak teoretycznie, że wszystko to zostało zaplanowane i że czekał na niego samochód z włączonym silnikiem.

– Dobrze – zgodziła się Stephanie, przyglądając mu się uważnie.

– Czysta fantazja! – parsknął Dave, ale i on był zainteresowany.

– A przynajmniej rzecz bardzo nieprawdopodobna – zgodził się Vince – ale faktem jest, że był tam kwadrans po dziesiątej, a mniej więcej pięć godzin później – w „Jan’s Wharfside”. To też nieprawdopodobne, ale wiemy, że tak było. W obu miejscach to był on. Mogę kontynuować?

– Kontynuuj, Sherlocku.

– Jeśli czekał na niego samochód z włączonym silnikiem, może zdołałby się znaleźć w pół godziny w Stapleton. Oczywiście nie poleciał zwykłym samolotem. Mógł zapłacić za bilet gotówką i podać fałszywe nazwisko – wtedy to było możliwe – ale z Denver do Bangor nie było bezpośrednich lotów. A raczej z Denver do jakiegokolwiek miasta w Maine.

– Sprawdzaleś?

– Sprawdzalem. Lecąc zwykłym samolotem, mógłby w najlepszym wypadku znaleźć się w Bangor za kwadrans szósta, czyli długo po tym, jak zobaczyła go dziewczyna z restauracji. O tej porze roku nie miałby już promu na Moosie.

– Ostatni odchodzi o szóstej? – spytała Stephanie.

– Aha, aż do połowy maja.

– Więc musiał wyczarterować samolot – powiedziała Stephanie. – Wyczarterowany odrzutowiec? Czy w Denver są firmy wynajmujące samoloty? I czy byłoby go na to stać?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak” – rzekł Vince. – Ale to by go kosztowało parę tysięcy, a te pieniądze musiałyby zostać podjęte z jego konta.

– A nie zostały?

Vince pokręcił głową.

– Przed jego zniknięciem nie było żadnych znacznych wypłat z konta. Mimo to, tak właśnie musiał postąpić. Sprawdziłem w licznych firmach i wszędzie usłyszałem, że w dobrym dniu – kiedy prądy powietrzne są silne, a mały lear, na przykład 35 lub 55, dostanie się na nie – można pokonać taką drogę w trzy godziny lub krócej.

– Z Denver do Bangor.

– Ano tak, z Denver do Bangor – nigdzie bliżej wybrzeża nie ma miejsca, w którym mogłyby wylądować takie małe samolociki. Nie ma dostatecznie dużo pustego terenu, rozumiesz.

Rozumiała.

– Więc sprawdziłeś to w firmach czarterowych w Denver?

– Staralem się i tam. Ale niewiele się dowiedziałem. Z pięciu firm posiadających samoloty różnej wielkości tylko dwie zechciały ze mną rozmawiać. Nie musiały, prawda? Nie byłem gliniarzem prowadzącym śledztwo, tylko dziennikarzem z małego miasta, interesującym się jakimś przypadkowym zgonem. Ponadto usłyszałem, że to nie tylko kwestia sprawdzenia informacji w OB w Stapleton...

– Co to jest OB?

– Operatorzy Bazowi. Wynajęcie samolotu to zaledwie jeden aspekt ich działalności. Zdobywają zezwolenia, utrzymują małe terminale dla prywatnych pasażerów, żeby mogli zachować tę swoją cenną prywatność, zajmują się handlem, usługami i pracami remontowymi. W większości baz możesz odciec bagaż, kupić sobie wysokościomierz, jeśli twój się zepsuł, albo

przespać osiem godzin w świetlicy pilotów, jeśli dotarłeś do kresu wytrzymałości. Niektórzy OB, jak Signature Air, to wielkie firmy – cała sieć, jak Holiday Inn czy McDonalds. Inne to małe klitki, wyposażone najwyżej w automat z przekąskami, i z rękawem na pasie.

– Naprawdę wszystko sprawdziłeś – powiedziała Stephanie z podziwem.

– Ano pewnie, dość, żeby się dowiedzieć, że ze Stapleton i innych portów lotniczych Kolorado korzystają nie tylko piloci i samoloty z tego stanu. Na przykład samolot z OB w nowojorskiej LaGuardii może przylecieć do Denver wraz z pasażerami, którzy zamierzają spędzić w Kolorado miesiąc u krewnych. Wówczas piloci rozglądają się za pasażerami, którzy chcą wrócić do Nowego Jorku, żeby nie lecieć na pusto.

– Dziś wszyscy pasażerowie kursu powrotnego byłiby zapisani w komputerze – dodał Dave.

– Rozumiesz, Steffi?

Rozumiała. Rozumiała coś więcej.

– Więc akta wielkiej ucieczki pana Cogana mogą się znajdować w dokumentacji Orłów Nowego Jorku.

– Albo Orłów Montpelier z Vermontu – dodał Vince.

– Albo Kaczuszek z Waszyngtonu – dorzucił Dave.

– A jeśli Cogan zapłacił gotówką, to w ogóle nie byłoby po nim śladu – uzupełnił Vince.

– Ale przecież na pewno istnieją agencje...

– No jasne – powiedział Dave. – Ile tylko chcesz, od Departamentu Transportu zaczynając, a na urządzie skarbowym kończąc. Ale jeśli chodzi o transakcje gotówkowe, nie ma po nich śladu w dokumentach. Są niewykrywalne. Pamiętasz Helen Hafner?

Oczywiście, pamiętała kelnerkę z „Grey Gull”. Tę, której syn niedawno spadł z domku na drzewie i złamał sobie rękę. Ona dostanie wszystko, powiedział Vince o pieniądzech, które wsunął do kieszeni Helen Hafner, a czego Wuj Sam nie widzi, tego mu nie żal. Dave zaś dodał: „Tak się robi interesy w Ameryce”.

Stephanie uznała, że pewnie tak jest, ale to wyjątkowo kłopotliwy sposób robienia interesów.

– Więc nie wiesz – powiedziała. – Zrobiłeś wszystko, ale po prostu nie wiesz.

Vince spojrział na nią najpierw z zaskoczeniem, potem z rozbawieniem.

– Co do tego pierwszego, to chyba nikt nie wie, czy naprawdę zrobił wszystko. Według mnie, większość z nas jest skazana – niestety – na myślenie, że jednak mogli zrobić coś jeszcze, nawet jeśli dostali to, o co walczyli. Co do drugiej sprawy, mylisz się – wiem. Wyczarterował samolot w Stapleton. Tak było.

– Ale powiedziałaś...

Vince pochylił się nad swymi splecionymi rękami, wpatrując się jej w oczy.

– Słuchaj uważnie i weź to sobie do serca, kochanie. Czytałem Sherlocka Holmesa bardzo dawno temu, więc nie zacytuję dokładnie, ale w którymś momencie ten wielki detektyw mówi do

doktora Watsona mniej więcej coś takiego: „Kiedy wyeliminuje się to, co niemożliwe, to to, co zostanie – bez względu na to, jak bardzo wydaje się nieprawdopodobne – musi stanowić rozwiązanie”. A zatem wiemy, że Colorado Kid był do dziesiątej piętnaście lub dwadzieścia w Denver. I mamy też niewzruszoną pewność, że koło wpół do szóstej był w „Jan’s Wharfside”. Podnieś palce tak, jak poprzednio.

Stephanie spełniła jego prośbę. Lewy palec oznaczał Jamesa Cogana w Kolorado, prawy – Kida w Maine. Vince rozplótł dłonie i dotknął lekko jej prawego palca. Starość spotkała się w powietrzu z młodością.

– Ale tego palca nie nazywaj piątą trzydzieści – dodał. – Nie ufajmy tej dziewczynie, która może nie była aż tak zalatana, jak to bywa w lipcu, ale niewątpliwie i tak miała pełne ręce roboty, no bo to była pora kolacji i w ogóle.

Stephanie skinęła głową. W tej części świata kolację jadano wcześniej. Menażkę z lunchem otwierało się o dwunastej w południe, często na łodzi do połowu homarów.

– Niech ten palec będzie szóstą – powiedział Vince. – Godziną ostatniego promu.

Znowu skinęła głową.

– Musiał na nim być, prawda?

– Chyba że przepłynął wpływ.

– Albo wynajął łódź – odparła.

– Sprawdzaliśmy – odezwał się Dave. – Pytaliśmy nawet Garda Edwicka, który na wiosnę osiemdziesiątego był przewoźnikiem na promie.

Czy Cogan przyniósł mu herbatę? – pomyślała Stephanie nagle. Bo jeśli człowiek chce gdzieś przepłynąć promem, musi przynieść herbatę dla sternika. Sam tak powiedziałeś, Dave. A może sternik i przewoźnik to dwie zupełnie inne osoby?

– Steff – odezwał się Vince z troską – wszystko dobrze, kochanie?

– Tak, bo co?

– Wyglądałaś... no, nie wiem, dziwnie.

– Bo to dziwna historia. – A potem dodała: – Ale to nie jest historia, mieliście rację, a jeśli wyglądałam dziwnie, to pewnie dlatego. To jak jeżdżenie rowerem po linie, której nie ma.

Wahała się chwilę, po czym postanowiła iść na całego i zrobić z siebie zupełną idiotkę.

– Czy Edwick zapamiętał Cogana, bo Cogan coś mu przyniósł? Herbatę dla sternika?

Przez chwilę żaden się nie odzywał. Przyglądali się jej tylko nieprzeniknionym wzrokiem – oczami tak dziwnie młodymi i chłopięcymi w starych twarzach – aż się przestraszyła, że zacznie płakać, śmiać się czy coś w tym rodzaju, że jakoś wybuchnie, by zabić lęk i narastającą pewność, że zrobiła z siebie kretynekę.

– Było zimno. Ktoś – jakiś mężczyzna – przyniósł do sterówki kawę w papierowym kubku i podał ją Gardowi. Zamienili tylko parę słów. Pamiętaj, to był kwiecień, a wtedy wcześniej się

ściemnia. Ten mężczyzna powiedział: „Gładko się płynie”. A Gard: „Aha”. Na co tamten: „Czekało mnie to od dawna”, czy „Czeka na mnie od dawna”, a może nawet „Czekam na Dawna”. Tego nazwiska nie ma w książce telefonicznej Tinnock, ale znalazłem je w wielu innych.

– Czy Cogan miał na sobie zieloną kurtkę albo marynarkę?

– Steff – powiedział Vince – Gard nie tylko nie pamiętał, czy facet miał coś na sobie, ale pewnie nie mógłby nawet przysiąc, czy przyszedł na własnych nogach, czy przyjechał konno. Po pierwsze, robiło się już ciemno, po drugie, to był tylko życzliwy gest i parę słów, odtworzonych po półtora roku, po trzecie... stary Gard, no, wiesz... – Uderzył się kantem dłoni w szyję.

– O zmarłych nie wolno mówić źle, ale ten człowiek pił jak cholerna gąbka – oznajmił Dave.
– W osiemdziesiątym piątym stracił pracę na promie, ale władze miasta pozwoliły mu prowadzić pług śnieżny, głównie dlatego, żeby jego rodzina nie umarła z głodu. Miał pięcioro dzieci, wiesz, i żonę ze stwardnieniem rozsianym. Ale w końcu rozbił pług, jadąc główną ulicą w pijanym widzie i przez tego skurkowańca przez tydzień nie było prądu, a był skurkowany luty, wybacz staremu zrzędzie ten język. Wtedy wyleciał z roboty i poszedł na zasiłek. Więc czy jestem zdziwiony, że nie zapamiętał nic więcej? Nie jestem. Ale na podstawie tego, co zapamiętał, sądzę, że owszem, Colorado Kid przybył ze stałego lądu ostatnim promem i, owszem, przyniósł herbatę dla sternika bądź jej odpowiednik. Dobrze, że to zapamiętałaś, Steff. – I pogłaskał ją po rękę.

Uśmiechnęła się do niego. Miała wrażenie, że dość nieprzytomnie.

– Jak zauważyłaś – podjął Vince – należy doliczyć dwugodzinną różnicę czasu. – Zbliżył jej lewy palec do prawego. – Jest kwadrans po dwunastej czasu Wschodniego Wybrzeża, gdy Cogan opuszcza pracę. Ledwie drzwi windy otwierają się na parterze, porzuca niedbałą, niebudzącą podejrzeń pozę. W jednej sekundzie. Wypada na zewnątrz jak opętany i pędzi do czekającego na niego szybkiego samochodu z równie szybkim kierowcą. Pół godziny później jest w Stapleton, a po pięciu minutach wbiega już po trapie prywatnego samolotu. Nie powierzył tych przygotowań przypadkowi. Nie mógł. Są ludzie, którzy regularnie korzystają z prywatnych samolotów, po czym przez dwa tygodnie pozostają w jednym miejscu. Piloci, którzy ich przywieźli, przez ten czas wynajmują się do innych lotów. Nasz chłopiec mógł sobie zorganizować jeden z takich samolotów i niemal z całą pewnością zapłacił gotówką za lot na wschód.

– Co by zrobił, gdyby osoba, która wynajęła samolot, postanowiła w ostatniej chwili jednak nim wrócić?

Dave wzruszył ramionami.

– To samo, co wówczas, gdyby była zła pogoda. Odłożyłby lot na następny dzień.

Tymczasem Vince przyciągnął lewy palec Stephanie jeszcze bliżej prawego.

– Teraz na Wschodnim Wybrzeżu jest pierwsza po południu – powiedział – ale przynajmniej nasz przyjaciel Cogan nie musi się martwić o korowody z ochroną; nie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, zwłaszcza że chodzi o prywatny lot. I musimy założyć – jeszcze raz – że nie musiał też czekać w kolejce z innymi samolotami na czynny pas startowy, bo to by nam popsulo obliczenia, a tymczasem po drugiej stronie... – dotknął jej prawego palca – ...wkrótce odbije prom. Ostatni tego dnia.

A zatem lot trwa trzy godziny. To akurat wiemy. Mój szanowny kolega wszedł do Internetu – namiętnie kocha tego drania – i twierdzi, że owego dnia pogoda była dobra, a mapy wykazują, że prądy powietrzne znajdowały się we właściwym miejscu...

– Ale nigdy nie udało mi się określić, czy były silne – wtrącił Dave. Zerknął na Vince'a. – Może i dobrze, partnerze, boby ci rozwiały tę twoją sprawę.

– A więc: trzy godziny – powtórzył Vince i zbliżył lewy palec Stephanie (ten, który zaczęła nazywać palcem Colorado Kida) na odległość niespełna pięciu centymetrów od prawego (który obecnie oznaczał Jamesa Cogana – wkrótce trupa). – Dłużej lot nie mógł trwać.

– Bo fakty na to nie pozwalają – szepnęła zafascynowana (i, prawdę mówiąc, trochę przestraszona). Kiedyś, jeszcze w liceum, przeczytała powieść science fiction „Luna to surowa pani”. Nie wiedziała, jak to jest z tym Księżycem, ale podejrzewała, że z pewnością czas jest surowy.

– Otóż to, nie pozwalają – zgodził się. – O czwartej, może czwartej pięć... powiedzmy, że o czwartej pięć... Cogan ląduje i wysiada w bazie prywatnych linii lotniczych Twin City, wówczas jedynej na międzynarodowym lotnisku w Bangor...

– Istnieją jakieś dokumenty potwierdzające jego przybycie? – spytała. – Sprawdziłeś?

Wiedziała, że sprawdził, to było oczywiste, i wiedziała także, że nic z tego nie wyszło. To było jak kichnięcie, które nie nadchodzi.

Vince uśmiechnął się.

– Jasne, ale w owych beztróskich dniach przed wprowadzeniem specjalnych środków ostrożności na lotniskach w bazie zachowywano tylko księgi rachunkowe. Tamtego dnia było sporo wpłat gotówką, w tym spore za paliwo po południu, ale nawet to niekoniecznie coś znaczyło. Z tego, co wiemy, pilot lecący z Kidem mógł spędzić tę noc w hotelu w Bangor i wylecieć następnego ranka...

– ...albo zatrzymać się na cały weekend – dodał Dave. – Lub też od razu wrócić, nie uzupełniając paliwa.

– Jak to możliwe, jeśli przyleciał z Denver? – spytała Stephanie.

– Mógł skoczyć do Portland – wyjaśnił Dave – i tam napełnić zbiorniki.

– Dlaczego?

Dave uśmiechnął się. Nadało mu to zaskakująco chytry wygląd, ta mina była zupełnie

odmienna od zwykłego wyrazu twarzy Dave'a, pełnego szczerzej i nieco naiwnej otwartości. Stephanie dopiero teraz pomyślała, że intelekt kryjący się za tą pyzată i raczej dziecinną twarzą jest prawdopodobnie równie drapieżny i błyskotliwy, jak Vince Teague'a.

– Cogan pewnie za to zapłacił pilotowi z Denver, bo bał się zostawić ślad w dokumentach – powiedział Dave. – A pilot z Denver chyba bardzo chętnie spełniał każdą rozsądną prośbę, jeśli dostał za to wystarczającą zapłatę.

– Co do Colorado Kida – podjął Vince – nadal ma niemal dwie godziny na dotarcie do Tinnock, kupienie ryby z frytkami w „Jan's Wharfside”, spożycie jej przy stoliku z widokiem na morze, a następnie złapanie ostatniego promu na wyspę Moose-Lookit. – Mówiąc, Vince powoli zbliżał do siebie oba palce Stephanie, aż się zetknęły.

Stephanie przyglądała się im z fascynacją.

– Zdażyłyby?

– Owszem, chociaż z trudem – przyznał Dave z westchnieniem. – Nigdy bym w to nie uwierzył, gdyby jego zwłoki nie znalazły się na plaży w Hammock. A ty, Vince?

– W życiu – rzucił Vince bez chwili namysłu.

– W Tinnock są cztery pasy startowe, z ubitej ziemi, więc sezonowe. Przeważnie lądują na nich turyści przylatujący na wycieczki krajoznawcze – latem albo jesienią, kiedy liście są kolorowe, choć to trwa tylko parę tygodni. Sprawdziliśmy to na wypadek, gdyby Cogan wynajął drugi samolot i poleciał z Bangor na wybrzeże.

– Zakładam, że nic nie znaleźliście.

– Słusznie zakładasz – powiedział Vince z uśmiechem raczej ponurym niż chytrym. – Od chwili, gdy drzwi windy w budynku w Denver zamknęły się za Coganem, cały ten interes to jedynie cienie, których nie można schwytać... no i trup.

– W kwietniu trzy z tych czterech pasów były opustoszałe, więc można by na nich posadzić samolot i nikt by o tym nie wiedział. Czwartym... mieszkała przy nim niejaka Maisie Harrington z ojcem i mniej więcej sześćdziesięcioma kundlami. Zapewniała, że od października siedemdziesiątego dziewiątego do maja osiemdziesiątego nikt nie używał tego pasa, ale jechało od niej jak z gorzelnii i wątpiłem, czy pamięta, co się działo tydzień wcześniej, co dopiero przed półtora rokiem.

– A jej ojciec?

– Ślepy jak kret i bez jednej nogi – poinformował Dave. – Cukrzyca.

– Ooo!

– Tak.

– Zostaw Jacka i Maisie Harringtonów – powiedział Vince niecierpliwie. – W wypadku Cogana nigdy nie wierzyłem w teorię drugiego samolotu, tak jak nie wierzyłem w teorię drugiego zamachowca w wypadku Kennedy'ego. Jeśli w Denver na Cogana czekał samochód – a nie ma

możliwości, żeby było inaczej – to mógł na niego czekać i na lotnisku. I sądzę, że czekał.

– To dopiero naciągana teoria – zauważył Dave. Nie szyderczo, lecz z żalem.

– Być może – przyznał beztrąsko Vince. – Ale jeśli odrzuci się to, co niemożliwe, to to, co zostanie... Oto twój szczeniaczek, który drapie do drzwi, żeby go wypuścić.

– Mógł nie mieć kierowcy – odezwała się Stephanie w zamyśleniu.

– Samochód z wypożyczalni? – Dave pokręcił głową. – Nie sądzę, kochanie. Wypożyczalnie przyjmują tylko karty kredytowe, a karty kredytowe zostawiają ślad w dokumentach.

– Poza tym – dodał Vince – Cogan nie znał terenów na wschodzie i wybrzeżu Maine. Jak się dowiedzieliśmy, nie był tu nigdy w życiu. Teraz znasz już te drogi; jest tylko jedna duża szosa, która prowadzi w tę stronę z Bangor do Ellsworth, ale kiedy dostaniesz się do Ellsworth, masz trzy lub cztery do wyboru, a przyjezdny, nawet jeśli jest zaopatrzony w mapę, musi się pogubić. Nie, według mnie, Dave ma rację. Jeśli Kid zamierzał skorzystać z samochodu i jeśli wiedział z góry, jak mało będzie miał czasu, pewnie wynajął kierowcę, żeby na niego czekał. Kogoś, kto przyjmie gotówkę, będzie jechał szybko i się nie zgubi.

Stephanie zastanawiała się przez krótką chwilę. Obaj panowie pozwolili jej na to.

– W sumie trzech wynajętych przewoźników – przemówiła w końcu. – Jeden za pulpitem prywatnego odrzutowca.

– Może z drugim pilotem – dodał cicho Dave. – Obowiązują przepisy.

– Mało prawdopodobne – oznajmiła Stephanie.

Vince pokiwał głową i westchnął.

– Nie powiem nie.

– Nigdy nie trafiliście na żadnego z tych przewoźników, prawda?

– Prawda.

Rozmyślała jeszcze przez jakiś czas, tym razem ze spuszczoną głową i mocno zmarszczonym czołem, na co dzień tak gładkim. Znowu czekali, nie przerywając, a ona po dwóch minutach podniosła na nich wzrok.

– Ale dlaczego? Co mogło być dla niego tak ważne, że się na to wszystko zdecydował?

Vince Teague i Dave Bowie spojrzeli na siebie, a potem na nią.

– Dobre pytanie.

– Matka wszystkich pytań – przyznał Dave.

– Kluczowe pytanie – oświadczył Vince.

– Oczywiście, że tak. Od zawsze – powiedział Dave.

Po chwili Vince rzekł cicho:

– Nie wiemy, Stephanie. Nigdy nie wiedzieliśmy.

I Dave, jeszcze ciszej:

– To by się nie spodobało w „Boston Globe”. Oj, jak by się nie spodobało.

– Oczywiście, nie jesteśmy „Boston Globe” – powiedział Vince. – Nie jesteśmy nawet „Daily News” z Bangor. Ale, Stephanie, kiedy dorosły mężczyzna lub kobieta robi coś kompletnie nietypowego, każdy dziennikarz, z małego czy dużego miasta, szuka przyczyn. Nieważne, czy w rezultacie cała kongregacja metodystów ginie otruta na pikniku, czy też małżonek spokojniutko znika pewnego roboczego dnia. Teraz – na jakiś czas zapominając o tym, gdzie mógł się pojawić i jak zdołał się tu dostać – powiedz mi, co może być przyczyną takiego nietypowego zachowania. Wyliczaj, dopóki nie zobaczą przynajmniej czterech palców.

Zaczął się szkolenie, pomyślała, a potem przypomniała sobie coś, co Vince rzucił mniej więcej przed miesiącem, niemal w przelocie: „Jeśli chcesz odnieść sukces w dziennikarstwie, nie zawadzi mieć brzydkie myśli, kochanie”. Wówczas uznała tę uwagę za dziwną, może nawet dowodzącą starczej degrengolady. Teraz chyba zrozumiała ją lepiej.

– Seks – powiedziała, prostując prawy palec wskazujący – ten od Colorado Kida. – Czyli inna kobieta. – Wyprostowała drugi palec. – Problemy finansowe. Myślę o długu lub kradzieży.

– Nie zapominaj o urzędzie skarbowym – odezwał się Dave. – Ludzie czasem dają drapaka, kiedy sobie uświadomią, że są coś dłużni Wujowi Samowi.

– Ona na razie o tym nie wie i nie możesz jej mieć tego za złe – przypomniał Vince. – Dalej, Steffi, dobrze ci idzie.

Nie wyprostowała jeszcze tylu palców, żeby był zadowolony, ale potrafiła wymyślić już tylko jedno:

– Potrzeba rozpoczęcia nowego życia? – spytała z powątpiewaniem, zwracając się bardziej do siebie niż do nich. – I... bo ja wiem... przecięcia starych więzów i wzięcia się do wszystkiego od nowa jako ktoś inny w innym miejscu? – Potem przyszło jej do głowy coś jeszcze. – Szaleństwo?

Wyprostowała już cztery palce – seks, pieniądze, zmiana, szaleństwo. Spojrzała z powątpiewaniem na trzeci i czwarty palec. – Może zmiana i szaleństwo to to samo?

– Może – powiedział Vince. – Jest sprawa do dyskusji, czy szaleństwo nie oznacza ucieczki od wszystkich rodzajów uzależnień, od których ludzie usiłują się wyzwolić. Takie ucieczki znane są czasem jako „geograficzne lekarstwo”. Myślę zwłaszcza o narkotykach i alkoholu. Hazard jest innym nałogiem, który ludzie usiłują leczyć geograficznie, ale myślę, że ten problem można podciągnąć pod pieniądze.

– Miał problemy z narkotykami lub alkoholem?

– Arla Cogan twierdziła, że nie, a sądzę, że wiedziałaby, gdyby tak było. A po szesnastu miesiącach rozmyślań i znalezieniu zwłok męża chyba mi o tym powiedziała.

– Ale, Steffi – dodał Dave (dość łagodnie) – jeśli się zastanowić, w tym musi gdzieś tkwić

szaleństwo, nie sądzisz?

Pomyślała o Jamesie Coganie, Colorado Kidzie, siedzącym bez życia na plaży w Hammock, opartym o kubeł na śmieci, z tkwiącym w gardle kawałkiem mięsa i zamkniętymi oczyma zwróconymi ku Tinnock i cieśninie. Pomyślała o jego dłoni, w której jakby jeszcze trzymał przekąskę, kawałek steku; bez wątpienia skradła go jakaś głodna mewa, zostawiając jedynie lepki wzór piasku na dłoni.

– Tak – przyznała. – Gdzieś tu tkwi szaleństwo. Czy ona o tym wiedziała? Jego żona?

Obaj spojrzeli na siebie. Vince westchnął i potarł bok wąskiego jak nóż nosa.

– Mogła wiedzieć, ale wówczas musiała się już martwić o siebie. O siebie i syna. Kiedy mężczyzna znika w taki sposób, porzucona kobieta znajduje się w cholernie ciężkiej sytuacji. Wróciła do pracy w banku, ale mimo to nie mogła utrzymać tego domu w Nederland...

– Kryjówki Hernanda – mruknęła Stephanie współczująco.

– Ano właśnie. Jakoś się utrzymywała na powierzchni, nie pożyczala zbyt wiele od rodziców, a od teściów wcale, ale wydała prawie wszystkie pieniądze, które odłożyli z mężem na naukę małego Mike'a. Kiedy ją poznaliśmy, powinienem odgadnąć, że zależało jej na dwóch rzeczach, jednej praktycznej, a drugiej... jak by to powiedzieć... duchowej? – Spojrzał na Dave'a z pewnym powątpiewaniem, a ten wzruszył ramionami i kiwnął głową, jakby na znak, że to określenie jest trafne.

Vince też skinął głową i ciągnął dalej:

– Chciała pozbyć się ciężaru niewiedzy. Czy mąż żyje, czy nie? Czy ona sama jest mężatką, czy wdową? Czy ma pogrzebać nadzieję, czy też jeszcze ją zachować? Może to ostatnie pytanie brzmi odrobinę cynicznie, ale sądzę, że po szesnastu miesiącach nadzieja musi bardzo ciążyć – za bardzo, żeby ją ze sobą wlec.

Co do rzeczy praktycznej, była prosta. Kobieta chciała, żeby towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło jej należną kwotę. Wiem, że Arla Cogan nie jest jedyną osobą na świecie, która nienawidzi towarzystwa ubezpieczeniowego, ale muszę przyznać jej wysokie miejsce na liście ze względu na intensywność tego uczucia. Wiązała jakoś koniec z końcem, mieszkała z Michaeliem w trzy – czy czteropokojowym mieszkaniu w Boulder – spora zmiana po ładnym domu w Nederland – zostawiała go w żłobku i z opiekunkami, nie zawsze godnymi zaufania, wykonywała pracę, której nie chciała wykonywać, chodziła spać samotnie po latach życia z kimś, do kogo mogła się przytulić, martwiła się o rachunki, zawsze kontrolowała poziom benzyny, bo paliwo już wtedy zaczęło drożeć... i przez cały czas miała właściwie wewnętrzną pewność, że jej mąż nie żyje, ale za wewnętrzną pewność towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciało jej zapłacić, zwłaszcza że nie znaleziono zwłok, bo dopiero to pozwoliłoby ustalić przyczynę zgonu.

– Nieustannie mnie pytała, czy „ci dranie” – tak ich nazywała – mogą się jakoś „wykręcić”, czy mogą uznać, że to było samobójstwo. Powiedziałem, że nigdy nie słyszałem, żeby ktoś

popęłnił samobójstwo, dławiąc się kawałkiem mięsa, a później, kiedy dokonała identyfikacji, Cathcart potwierdził moje słowa. To trochę ją uspokoiło.

Potem on oznajmił, że zadzwoni do agenta ubezpieczeniowego w Brighton w Kolorado i wyjaśni mu wszystko na temat odcisków palców i identyfikacji na podstawie fotografii. Przyprze go do muru. Wtedy się rozpląkała – trochę z ulgi, trochę z wdzięczności, trochę po prostu ze zmęczenia.

– No tak – szepnęła Stephanie.

– Zabrałem ją promem na Moosie i umieściłem w motelu „Red Roof” – ciągnął Vince. – W tym samym, w którym zamieszkałaś od razu po przyjeździe, prawda?

– Tak – powiedziała. Mniej więcej od miesiąca mieszkała w pensjonacie, ale w październiku miała się przenieść do normalnego mieszkania. Oczywiście, jeśli te dwa stare pierniki pozwolą jej zostać. Wydawało się Stephanie, że pozwolą. Miała wrażenie, że o to właśnie im chodzi.

– Następnego ranka spotkaliśmy się na śniadaniu – powiedział Dave – a ona, jak większość ludzi, którzy nie zrobili nic złego i nie mają żadnego doświadczenia z prasą, rozmawiała z nami bez oporów. Bez obawy, że każde jej słowo ukaże się na pierwszej stronie. – Zrobił pauzę. – I rzeczywiście ukazało się z tego bardzo niewiele. To nigdy nie był dobry temat, jeśli oczywiście pominąć główny fakt: „Zwłoki mężczyzny znalezione na plaży, coroner stwierdza naturalną przyczynę zgonu”. A zresztą wówczas była to już przebrzmiała historia.

– Bez myśli przewodniej – dodała Stephanie.

– Bez niczego! – zawołał Dave i zaczął się śmiać. Śmiał się tak długo, aż chwycił go kaszel. Kiedy atak minął, mężczyzna otarł kąciki oczu dużą chustką w turecki wzorek, którą wyjął z tylnej kieszeni spodni.

– Co wam powiedziała? – spytała Stephanie.

– A co mogła powiedzieć? – odparł Vince. – Głównie pytała. Ja zainteresowałem się tylko, czy ten czerwonec był talizmanem, pamiątką czy czymś w tym rodzaju. – Prychnął. – Tego dnia świetny był ze mnie dziennikarz.

– Czerwo... – Stephanie dała za wygraną i pokręciła głową.

– Radziecka moneta w jego kieszeni, pośród innych drobniaków – wyjaśnił Vince. – To czerwonec. Dziesięciorubłówka. Spytałem ją, czy to był jego talizman lub coś w tym rodzaju. Nie miała pojęcia. Powiedziała, że najbliższym związkiem Jima z ZSRR był wypożyczony film z Jamesem Bondem „Pozdrowienia z Rosji”.

– Może znalazł ją na plaży – powiedziała Stephanie w zamyśleniu. – Ludzie znajdują na plaży najdziwniejsze rzeczy. – Sama podczas przechadzki na plaży w Little Hay, jakieś trzy kilometry od Hammock, znalazła kiedyś damski but na wysokim obcasie, przedziwnie wyglądzony podczas długiej tułaczki pomiędzy morzem i brzegiem.

– Możliwe – zgodził się Vince. Spojrzał na nią, a jego oczy błysnęły w zapadniętych

oczodołach. – Chcesz wiedzieć, co najbardziej mnie uderzyło po jej spotkaniu z Cathcartem w Tinnock?

– Pewnie.

– Że wyglądała na wypoczętą. I że kiedy siadła do śniadania, dopisywał jej apetyt.

– Fakt – zgodził się Dave. – Jest takie stare powiedzonko o tym, że skazańcy jedzą, ile wlezie, ale wydaje mi się, że nikt nie ma takiego apetytu, jak ten, kto właśnie został ułaskawiony. A ona w pewnym sensie została ułaskawiona. Mogła nie wiedzieć, dlaczego jej mąż wybrał się tutaj, co go napadło, że tu przyjechał, i pewnie zdawała sobie sprawę, że nigdy się tego nie dowie...

– To prawda – dorzucił Vince. – Powiedziała to, kiedy odwiozłem ją na lotnisko.

– ...ale dowiedziała się rzeczy najważniejszej: że jej mąż nie żyje. Serce od początku jej to podpowiadało, ale rozum żądał dowodu.

– Nie wspominając już o przebrzydłym towarzystwie ubezpieczeniowym – dopowiedział Dave.

– Dostała te pieniądze? – spytała Stephanie.

Dave uśmiechnął się.

– A jakże. Nie śpieszyli się za bardzo – ci chłopcy mają zwyczaj śpieszyć się przy sprzedawaniu polisy i ociągać przy wypłacie, ale w końcu zapłacili. Dostaliśmy od niej list, w którym dziękowała nam za nasze wysiłki. Napisała, że gdyby nie my, nadal pozostawałaby w niepewności, a towarzystwo ubezpieczeniowe utrzymywałoby, że James Cogan może żyć w Brooklynie lub Tangerze.

– Jakie pytania zadawała?

– Przewidywalne – powiedział Vince. – Przede wszystkim chciała wiedzieć, dokąd się udał po opuszczeniu promu. Niestety, my także nie wiedzieliśmy. Sami o to pytaliśmy, prawda, Dave?

Dave Bowie skinął głową.

– Ale nikt go nie widział – ciągnął Vince. – Oczywiście, o tej porze ściemniło się już niemal zupełnie, więc niby jak ktoś miałby go widzieć? Co do innych nielicznych pasażerów – o tej porze roku jest ich naprawdę niewielu, zwłaszcza na ostatnim promie – to ruszyli prosto do swoich samochodów na parkingu przy Bay Street, chowając głowy w kołnierze, bo od morza dał wicher.

– Spytała o jego portfel – powiedział Dave. – Mogliśmy jej tylko powiedzieć, że nikt go nigdy nie znalazł... a jeśli tak, to nie oddał go policji. Pewnie ktoś mu go wyciągnął z kieszeni na promie, zabrał pieniądze, a portfel wyrzucił za burtę.

– Aha, i możliwe, że w niebie jest rodeo, choć to mało prawdopodobne – dodał sucho Vince. – Jeśli miał w portfelu gotówkę, to dlaczego trzymał sporo pieniędzy – siedemnaście dolarów w banknotach – w kieszeni spodni?

– Na wszelki wypadek – podsunęła Stephanie.

– Może. Ale jakoś mnie to nie przekonuje. I, szczerze mówiąc, kieszonkowiec działający na promie o szóstej pomiędzy Tinnock i Moosie jest dla mnie jeszcze odrobinę bardziej nieprawdopodobny niż grafik z agencji reklamowej w Denver, który wynajmuje prywatny odrzutowiec, żeby przylecieć do Nowej Anglii.

– W każdym razie nie mogliśmy jej wyjaśnić, gdzie się podział jego portfel – powiedział Dave – jak również płaszcz i marynarka, ani dlaczego znaleziono go siedzącego na plaży w samej koszuli i spodniach.

– A papierosy? – spytała Stephanie. – Na pewno ją zdziwiły.

Vince parsknął śmiechem.

– „Zdziwiły” to niewłaściwe słowo. Omal nie zwariowała przez te szlugi. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego miał je przy sobie. Ale my przynajmniej nie musieliśmy kobiecie tłumaczyć, że jej mąż nie należy do ludzi, którzy rzucają papierosy, a potem znowu zaczynają palić. Cathcart przyjrzał się z bliska jego płucom podczas sekcji, z przyczyn, które na pewno zrozumiesz...

– Chciał się upewnić, że Cogan nie utonął?

– Zgadza się. Gdyby doktor Cathcart znalazł poza tym kawałkiem mięsa także wodę w płucach, to by znaczyło, że ktoś usiłuje zatuszować prawdziwą przyczynę zgonu pana Cogana. I choć nie musiałyby to być zaraz morderstwo, można by je brać pod uwagę. Ale Cathcart nie znalazł wody w płucach Cogana, jak również żadnych śladów nikotyny. Było tam ładnie i różowo, powiedział. A jednak gdzieś pomiędzy biurowcem a lotniskiem w Stapleton, pomimo przeraźliwego pośpiechu, Cogan musiał kazać kierowcy stanąć i kupić paczkę papierosów. Albo też miał je już przy sobie, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne. Może razem z tą radziecką monetą.

– Powiedziałeś jej to?

– Nie – zaprzeczył Vince i w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. – Przepraszam.

Rozmawiał krótko, parę razy powtórzył „aha” i wrócił, przeciągając się po drodze.

– To była Ellen Dunwoodie – wyjaśnił. – Dojrzała do rozmowy o tej wielkiej traumie, jaką przeżyła, ściąwszy hydrant i „zrobiwszy z siebie widowisko”. Dokładny cytat, choć nie sądzę, żeby się znalazł w mojej porywającej relacji. W każdym razie wkrótce muszę tam pokuśtykać i wydobyć z niej fakty, dopóki je jeszcze pamięta i zanim będzie musiała zająć się kolacją. Dobrze, że ona i siostra jadają późno. W przeciwnym razie nie miałbym tyle szczęścia.

– A ja muszę się zabrać do tych faktur – odezwał się Dave. – Coś mi się zdaje, że od czasu, jak poszliśmy do „Grey Gull”, przybyło ich z dziesięć. Dałbym głowę, że jak się je zostawi same na biurku, to zaczynają się rozmnażać.

Stephanie spojrzała na nich z autentycznym przerażeniem.

– Nie możecie przerwać w takiej chwili! Nie trzymajcie mnie w niepewności!

– Nie ma rady – odparł łagodnie Vince. – Sami trwamy w niepewności od dwudziestu pięciu lat. W tej historii nie ma odtrąconej sekretarki.

– Ani miejskich świateł, odbitych na chmurach – dorzucił Dave. – Ani nawet Teodora Riponeaux, biednego starego marynarza, zamordowanego z powodu domniemanego pirackiego skarbu i pozostawionego w kałuży własnej krwi na pokładzie, podczas gdy jego kompani znaleźli się za burtą – a dlaczego? Jako ostrzeżenie dla innych ewentualnych poszukiwaczy skarbów, ot co! Oto zacna myśl przewodnia, co, skarbie?

Dave wyszczerzył zęby... ale potem jego uśmiech zniknął.

– W sprawie Colorado Kida nie ma nic takiego. Nie ma żyłki na korale, nie ma Sherlocka Holmesa ani Ellery'ego Queena, który mógłby je nanizować. Tylko dwóch facetów z gazety, która porusza ze sto różnych tematów na tydzień. Żaden z nich nie jest interesujący według standardów bostońskiego „Globe”, ale wyspiarze chętnie o nich czytają... a skoro o tym mowa, chyba miałaś pogadać z Samem Gernerdem? Dowiedzieć się czegoś na temat jego słynnego Pikniku z Tańcami?

– Miałam... pogadam... I chcę! Rozumiecie? Naprawdę chcę z nim pogadać o tej bzdurze!

Vince Teague parsknął śmiechem. Dave też.

– Aha – powiedział Vince, kiedy odzyskał mowę. – Nie wiem, jak by to przyjął twój dziekan, Steffi, pewnie by dostał załamania nerwowego, ale ja jestem pewien, że naprawdę chcesz. – Zerknął na Dave'a. – Obaj jesteśmy pewni.

– Wiem, że macie robotę, ale przecież po tylu latach musicie mieć jakieś podejrzenia... jakieś teorie... – Spojrzała na nich błagalnie. – No... macie?

Zerknęły na siebie i znowu poczuła przepływającą między nimi telepatyczną więź, ale tym razem nie potrafiła odczytać wiadomości. Potem Dave spojrzał na nią.

– Czego naprawdę chcesz się dowiedzieć? Powiedz.

– Myślicie, że został zamordowany?

Tego naprawdę chciała się dowiedzieć. Prosiła ją, żeby odsunęła tę myśl, więc odsunęła, ale teraz dyskusja o Colorado Kidzie dobiegła niemal końca, więc można było powrócić do sprawy.

– Dlaczego mimo wszystkiego, co ci powiedzieliśmy, sądzisz, że jego śmierć nie była przypadkowa? – spytał Dave. Był autentycznie zaciekawiony.

– Z powodu papierosów. On po prostu musiał je kupić w jakimś celu. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś odkryje tę pieczętkę z Kolorado dopiero półtora roku później. Myślał, że śledztwo w sprawie znalezionej na plaży martwego człowieka bez dokumentów będzie dokładniejsze.

– Tak – zgodził się Vince. Głos miał cichy, ale zacisnął pięść i potrząsnął nią jak kibic, który właśnie zobaczył świetną zagrywkę albo pięknego gola. – Mądra dziewczynka. Dobra robota.

Stephanie, choć miała tylko dwadzieścia dwa lata, byłaby oburzona, gdyby niektóre osoby nazwały ją dziewczynką. Ale ten dziewięćdziesięcioletni mężczyzna o rzadkich siwych włosach, pociągłej twarzy i przenikliwych błękitnych oczach do nich nie należał. Prawdę mówiąc, aż zarumieniła się z radości.

– Nie mógł wiedzieć, że kiedy nadejdzie pora dochodzenia w sprawie jego śmierci, na wyspie zjawia się te dwa kołki, O'Shanny i Morrison – powiedział Dave. – Nie mógł wiedzieć, że będzie musiał polegać na stażycie, który przez parę miesięcy zajmował się wyłącznie noszeniem teczek i bieganiem po kawę, nie wspominając już o dwóch staruchach, wydających tygodnik o jedno oczko lepszy od supermarketowych ulotek.

– Uważaj, co mówisz, bracie – ostrzegł Vince. – Za coś takiego można oberwać.

Podniósł starcze pięści.

– A jednak mu się udało – powiedziała Stephanie. – Koniec końców, naprawdę mu się udało.

– A potem, myśląc o kobiecie i małym Michaelu (który obecnie powinien mieć dwadzieścia parę lat), dodała: – Jej też. Bez Paula Devane'a i was Arla Cogan nigdy by nie dostała pieniędzy z polisy.

– Jest w tym trochę prawdy – przyznał Vince.

Z rozbawieniem zauważyła, że czuje się skrzępowany. Nie dlatego, że postąpił słusznie, ale że ktoś się o tym dowiedział. Mieli tu Internet, niemal na każdym domu widziała antenę satelitarną, żadna łódź rybacka nie wypływała już bez GPS-u, a jednak stare kalwińskie zasady były w ludziach głęboko zakorzenione. Niech nie wie lewica, co czyni prawica.

– Jak sądzicie, co się tu naprawdę stało? – spytała.

– Daj spokój, Steffi. – Vince powiedział to łagodnie, lecz zdecydowanie. – Wciąż się spodziewasz, że z szafy wyjdzie Rex Stout albo Ellery Queen ramię w ramię z panną Jane Marple. Gdybyśmy wiedzieli, co się naprawdę stało, gdybyśmy mieli jakiegokolwiek hipotezy,

pewnie byśmy je sprawdzali do upadłego. I niech się skurkowany „Globe” ugryzie, wszystko, czego byśmy się dowiedzieli, opublikowalibyśmy na pierwszej stronie „Islandera”. Może w osiemdziesiątym pierwszym byliśmy małymi dziennikarskimi płótkami, a teraz jesteśmy starymi dziennikarskimi wygami, ale to są żywe stare dziennikarskie wygi. Wciąż jeszcze bym się ucieszył z sensacyjnego tematu.

– Ja też – dodał Dave. Przedtem wstał, pewnie myśląc o swoich fakturach, ale teraz przysiadł na brzegu biurka, machając masywną nogą. – Zawsze marzyłem, że trafi się nam temat, który stanie się głośny na cały kraj, i z tym marzeniem pewnie umrę. Dobra, Vince, powiedz jej wszystko. Ona o tym nie zapomni. Teraz jest jedną z nas.

Stephanie zadrżała ze szczęścia – nie mogła się opanować – ale Vince Teague jakby tego nie zauważył. Pochylił się, i przeszył jej jasnoniebieskie oczy spojrzeniem swoich znacznie ciemniejszych tęczy – koloru oceanu w słoneczny dzień.

– Dobrze – powiedział. – Jego śmierć, a także przybycie na wyspę zastanawiały mnie na długo przedtem, nim się dowiedziałem o pieczętce. Zacząłem zadawać sobie pytania w chwili, gdy dowiedziałem się o paczce, w której brakowało tylko jednego papierosa, chociaż facet przybył na wyspę mniej więcej o wpół do siódmej. W sklepie Bayside News mieli mnie dość.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Wszystkim klientom pokazywałem zdjęcie Cogana, nawet zamiataczowi. Byłem pewien, że musiał kupić tę paczkę tutaj, albo w „Red Roof”, „Shuffle Inn” czy może u Sonny’ego w Sunoco. Przypuszczałem, że papierosy skończyły mu się, kiedy wędrował po wyspie, więc kupił nową paczkę. Ponadto szacowałem, że jeśli kupił je w Bayside News, to musiało to być tuż przed jedenastą, kiedy sklep się zamyka. To by tłumaczyło, dlaczego wypalił tylko jednego i zużył jedną zapalną.

– Ale potem dowiedziałeś się, że w ogóle nie palił – podsunęła Stephanie.

– Właśnie. Cathcart to potwierdził. A później nabrałem pewności, że ta paczka papierosów to wiadomość: „Pochodzę z Kolorado, tam szukajcie moich śladów”.

– Nigdy tego nie ustaliliśmy na pewno, ale obaj uważamy, że tak było – dodał Dave.

– Jeezu – szepnęła przeciągle. – I dokąd was to zaprowadziło?

Jeszcze raz spojrzeli na siebie i identycznie wzruszyli ramionami.

– W krainę cieni i światła księżycy – powiedział Vince. – Innymi słowy, w krainę, której żaden dziennikarz z bostońskiego „Globe” nigdy nie odwiedzi. Ale jestem głęboko przekonany co do paru innych rzeczy. Chcesz wiedzieć jakich?

– Tak.

Vince zaczął mówić powoli, lecz zdecydowanie, jak ktoś badający drogę w bardzo ciemnym korytarzu, którym chodził już wiele razy.

– Cogan wiedział, że znajdzie się w rozpaczliwej sytuacji i że jeśli umrze, jego zwłoki mogą

nie zostać zidentyfikowane. A tego nie chciał, bo martwił się o przyszłość żony.

– Więc kupił te papierosy w nadziei, że ktoś je zauważy – powiedziała Stephanie.

Vince pokiwał głową.

– Aha, i zauważył.

– Ale kto to miał być?

Vince zamyślił się, po czym podjął relację, nie odpowiadając na pytanie:

– Wsiadł do windy i zjechał na parter swojego biurowca. Podstawiony samochód zawiózł go na lotnisko w Stapleton albo gdzie indziej. Może był w samochodzie sam z kierowcą, a może towarzyszył mu ktoś jeszcze. Tego się nigdy nie dowiemy. Wcześniej spytałaś, czy Cogan tego ranka miał płaszcz, a ja powiedziałem, że George Rysownik nie pamiętał, ale Arla twierdziła, że nie znalazła go w domu, więc może jednak miał. Jeśli tak, to myślę, że zdjął go w samochodzie lub samolocie. Sądzę, że zdjął także marynarkę. A ktoś dał mu zieloną kurtkę albo ta kurtka już na niego czekała.

– W samochodzie lub samolocie.

– Aha.

– A papierosy?

– Trudno przesądzić, ale gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że miał je przy sobie – powiedział Dave. – Wiedział, że to go czeka... cokolwiek to było. Przypuszczam, że trzymał te papierosy w kieszeni spodni.

– Więc potem, na plaży... – Widziała Cogana, wyimaginowaną wersję Colorado Kida, zapalającego pierwszego w życiu papierosa – pierwszego i ostatniego – a potem idącego z nim na skraj morza, na plaży w Hammock, samotnego w świetle księżyca. W świetle księżyca o północy. Zaciąga się gryzącym, nieznanym dymem. Raz, może dwa razy. Potem wyrzuca papierosa w morze. A potem... co?

Co potem?

– Wsiadł z samolotu w Bangor – usłyszała własny głos, ochryply i obcy.

– Aha – zgodził się Dave.

– A kierowca, który przywiózł Kida z Bangor, wysadził go w Tinnock.

– Aha. – To był Vince.

– Zjadł rybę z frytkami.

– Tak było – przyznał Vince. – Potwierdziła to sekcja zwłok. I mój nos. Poczulem zapach octu z rozciętego żołądka.

– Czy wtedy jego portfel już zniknął?

– Nie wiemy – powiedział Dave – ale tak sądzą. Myślę, że oddał go razem z płaszczem, marynarką i normalnym życiem. I dostał w zamian zieloną kurtkę, którą także później zostawił.

– Albo zdjęto ją z jego zwłok – dodał Vince.

Stephanie zadrzała. Nie mogła się opanować.

– Przyplęta na wyspę Moose-Lookit promem o szóstej, po drodze daje Gardowi Edwickowi kawę w papierowym kubku, co można uznać za herbatę dla sternika albo przewoźnika.

– No – powiedział Dave. Był bardzo poważny.

– Wówczas nie ma już portfela ani dokumentów, tylko siedemnaście dolarów i drobne, wśród których znajduje się dziesięciorublówka. Myślicie, że ta moneta mogła być... no, nie wiem... jakimś znakiem rozpoznawczym, tak jak w powieściach szpiegowskich? Zimna wojna między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi jeszcze trwała, prawda?

– I kwitła – powiedział Vince. – Ale, Steffi, gdybyś chciała coś knuć z radzieckim agentem, to czy wykorzystywałabyś monetę dziesięciorublową jako znak rozpoznawczy?

– Nie – przyznała. – W takim razie po co ją miał? Chyba żeby komuś pokazać. Tylko tyle przychodzi mi do głowy.

– Zawsze miałem przecucie, że dostał tę monetę od kogoś – powiedział Dave. – Może razem z kawałkiem zimnej polędwicy, owiniętym w kawałek folii.

– Dlaczego? – spytała. – Po co?

Dave pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Czy folia leżała obok zwłok? Może rzucona w trawę na plaży?

– O’Shanny i Morrison oczywiście tego nie sprawdzili – wyjaśnił Dave. – Kiedy zdjęto żółtą taśmę, razem z Vince’em przeszukaliśmy całą plażę w Hammock – nie wypatrując akurat folii, rozumiesz, ale wszystkiego, co zmarły mógł mieć przy sobie, cegokolwiek. Nie znaleźliśmy nic oprócz zwykłych śmieci – papierków po cukierkach i tak dalej.

– Jeśli stek był w folii albo plastikowej torebce, to Kid mógł ją wrzucić do wody, razem z papierosem – powiedział Vince.

– A kawałek mięsa, który utkwiał w jego gardle...

Vince uśmiechał się lekko.

– Na temat tego steku odbyłem parę długich rozmów z doktorem Robinsonem i Cathcartem. Dave był przy paru. Pamiętam, co mi raz powiedział Cathcart, to musiało być nie więcej niż na miesiąc przed zawałem, który zabrał go sześć czy siedem lat temu. „Wracasz do tej starej sprawy jak dziecko, które ciągle dotyka językiem miejsca po zębie”. I pomyślałem, że to fakt, dokładnie tak robię, właśnie tak to wygląda. Jest jak dziura, której ciągle dotykam i którą badam, by znaleźć jej dno. Przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, czy ktoś mógł wtłoczyć ten kęs do gardła Cogana już po jego śmierci, palcami czy jakimś narzędziem, na przykład widelcem. Tobie też to przyszło na myśl, co?

Stephanie skinęła głową.

– Cathcart powiedział, że to możliwe, lecz mało prawdopodobne, ponieważ ten kawałek

mięsa nie tylko został przeżuty, ale w dodatku przeżuty na tyle dokładnie, że w zasadzie gotowy do przełknięcia. To już nie było mięso, tylko raczej, jak to nazwał, „organiczna papka”. Ktoś mógł je tak przeżuć, ale raczej nie umieściłby go w gardle Cogana z obawy, że nie będzie wyglądało przekonująco jako przyczyna zgonu. Nadażasz?

Znów kiwnęła głową.

– Powiedział też, że mięsną papkę trudno przesuwac narzędziem. Rozpłynęłaby się podczas prób przepchnięcia z ust do gardła. Można to zrobić palcami, ale Cathcart twierdził, że dostrzegłby ślady takiej operacji, na przykład naciągnięcie więzadeł szczęk. – Zamyślił się i potrząsnął głową. – Istnieje na to termin medyczny, ale go nie pamiętam.

– Powiedz jej, co ci mówił Robinson – odezwał się Dave. Oczy mu się iskrzyły. – Do niczego to nie doprowadziło, ale zawsze uważałem, że to diabelnie interesujące.

– Mówił, że istnieją pewne substancje, powodujące zwiócenie mięśni, niektóre pochodzenia egzotycznego, i przekaska Cogana mogła być nasycona czymś takim – oznajmił Vince. – Pierwsze kęsy przeszły bez trudu, co wynika z treści jego żołądka, a potem nagle okazało się, że kolejnego nie może już przełknąć.

– To musi być to! – zawołała Stephanie. – Ten ktoś, kto zatrul mięso, siedział i przyglądał się agonii Kida! A potem, kiedy Cogan umarł, morderca oparł go o kubeł i zabrał resztę steku, żeby uniemożliwić jego zbadanie! Nie było żadnej mewy! – Urwała i spojrzała na nich. – Dlaczego kręcicie głowami?

– Sekcja zwłok, kochanie – rzucił Vince. – Testy chromatograficzne nic takiego nie wykazały.

– Ale jeśli to była jakaś egzotyczna substancja...

– Jak w kryminałkach Agathy Christie? – spytał Vince, puszczając oko. – No, może... ale w gardle został mu ten kawałek mięsa, prawda?

– O! No cóż. Doktor Cathcart musiał przeprowadzić badania, tak? – Opuściła ręce.

– Tak – przyznał Vince. – I zrobił je. Może jesteśmy wieśniakami, ale czasem zdarza się nam myśleć. I jedyną szkodliwą substancją w tym przeżutym mięsie była sól.

Stephanie milczała chwilę. Potem powiedziała bardzo cicho:

– Może to jakaś znikająca substancja.

– Aha – mruknął Dave i wypchnął językiem policzek. – Jak Światła z Wybrzeża.

– Albo załoga „Lisy Cabot” – dodał Vince.

– A kiedy zsiadł z promu, udał się nie wiadomo dokąd.

– Właśnie. Przez te dwadzieścia pięć lat nie znaleźliśmy nikogo, kto by widział go przed Johnnym i Nancy, kwadrans po szóstej rano dwudziestego czwartego kwietnia. A z kronikarskiego obowiązku dodam – choć nikt tu nie prowadzi kroniki – że nie wydaje mi się, by ktoś wyjął resztkę steku z jego dłoni. Myślę, że to mewa ukradła mięso z martwej ręki, tak jak

zawsze podejrzewaliśmy. I rany, naprawdę muszę już lecieć.

– A ja muszę się zabrać do tych faktur – dodał Dave. – Ale najpierw przerwa regeneracyjna.

– Po tych słowach pokuśtykał do łazienki.

– No, to ja się biorę do artykułu – oznajmiła Stephanie. I nagle rzuciła, trochę ze śmiechem, trochę poważnie: – Ale prawie żałuję, że mi powiedzieliście, skoro tak mnie z tym zostawiacie! Nie zapomnę o tym przez parę tygodni!

– My nie zapomnieliśmy przez dwadzieścia pięć lat. I przynajmniej wiesz, dlaczego nic nie powiedzieliśmy temu z „Globe”.

– Tak. Wiem.

Uśmiechnął się i skinął głową.

– Dobrze sobie radzisz, Stephanie. Bardzo dobrze. – Uścisnął przyjaźnie jej ramię i ruszył do drzwi, zabierając po drodze z zagraconego biurka wąski reporterski notes i upychając go w tylnej kieszeni. Miał dziewięćdziesiąt jeden lat, lecz nadal poruszał się sprawnie, lekko tylko przygarbiony. Biel jego wytwornej białej koszuli przecinały na plecach eleganckie czarne szelki. W połowie pokoju zatrzymał się i znowu odwrócił. Promień popołudniowego słońca rozświetlił jego dziecięco delikatne białe włosy i zmienił je w aureolę.

– Miło mi, że tu jesteś – powiedział. – Chciałbym, żebyś to wiedziała.

– Dziękuję. – Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać łez, które nagle poczuła w gardle. – Jest mi tu cudownie. Początkowo miałam wątpliwości, ale... ale teraz też mogę powiedzieć: miło mi, że tu jestem.

– Zastanawiałaś się, czy zostać? Chyba tak.

– Tak. No pewnie.

Z powagą pokiwał głową.

– Dave i ja rozmawialiśmy o tym. Przydałaby się w redakcji świeża krew. Młoda krew.

– Będziecie tu jeszcze przez wiele lat, panowie.

– No jasne – rzucił niedbale, jakby to się rozumiało samo przez się, choć pół roku później, na jego pogrzebie, Stephanie w zimnym kościele zanotuje przebieg ceremonii w wąskim reporterskim notesie i pomyśli: „On wiedział, że to już blisko”. – Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. Ale jeśli chciałabyś zostać, chętnie cię przyjmujemy. Nie musisz się deklarować w tej chwili, ale uznaj to za poważną ofertę.

– Dobrze, uznam. I chyba oboje wiemy, co odpowiem.

– No i dobrze. – Odwrócił się, ale po chwili jeszcze raz na nią spojrzął. – Szkolenie na dziś już się skończyło, ale mogę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz o naszym zawodzie. Pozwolisz?

– Oczywiście.

– Istnieją tysiące gazet i dziesiątki tysięcy ludzi, którzy do nich pisują, ale są tylko dwa rodzaje artykułów. Reporterskie, które na ogół nie są wcale historiami, lecz relacjami

z wydarzeń. Takie artykuły nie muszą być opowiadaniem. Ludzie biorą gazetę, żeby przeczytać o krwi i łzach, tak jak zwalniają koło rozbitego samochodu na autostradzie, a potem jadą dalej. Ale co znajdują na dalszych stronach gazety?

– Artykuły tematyczne – powiedziała, myśląc o Hanrattym i jego „niewyjaśnionych tajemnicach”.

– Właśnie. I to są prawdziwe opowieści. Każda ma początek, środek i koniec. Dzięki temu są to dobre wiadomości, Steffi, zawsze dobre wiadomości. Nawet jeśli chodzi o parafialną sekretarkę, która prawdopodobnie wymordowała podczas pikniku połowę wiernych, ponieważ rzucił ją kochanek. To też dobra wiadomość; wiesz dlaczego?

– Nie wiem.

– A powinnaś – odezwał się Dave, wyłaniając się z łazienki i wycierając ręce w papierowy ręcznik. – Powinnaś, jeśli chcesz pracować w tym interesie, a rozumiem, że tak. – Nie przystając, wrzucił ręcznik do kosza.

Zastanowiła się.

– Są dobre, bo mają koniec.

– Tak jest! – zawołał rozpromieniony Vince. Uniósł ręce w górę jak kaznodzieja. – Mają finał! Mają rozwiązanie! Ale czy w prawdziwym życiu wszystko ma początek, środek i koniec? Co ci podpowiada doświadczenie?

– Nie mam wielkiego doświadczenia w dziennikarstwie – przypomniała. – Pracowałam tylko w szkolnej gazetce, a tu robię, no wiecie, rubrykę kulturalną.

Vince machnął ręką.

– Co ci podpowiada serce i rozum?

– Że w życiu nie zawsze tak jest. – Pomyślała o pewnym młodym mężczyźnie, z którym musi się rozmówić, jeśli ma tu zostać dłużej niż cztery miesiące... i że ta rozmowa może być trudna. I pewnie będzie. Rick nie przyjmie dobrze tej wiadomości, bo jego zdaniem, nie tak się powinna rozwinąć sytuacja.

– Nigdy nie czytałem artykułu tematycznego, który nie byłby zmyślony – ale na dalszych stronach gazety kłamstwo zwykle nie razi. I nie będzie razić. Chyba że... – Lekko wzruszył ramionami.

Przez chwilę nie wiedziała, co to ma znaczyć. Potem przypomniała sobie coś, co Dave powiedział całkiem niedawno, kiedy zasiadali na ganku w słońcu późnego sierpnia. „Jest nasz” – oświadczył niemal z gniewem. – „Gość z «Globe» tylko by go spała”.

– Gdybyście dali ten temat Hanrattemu, wykorzystałby go, prawda? – spytała.

– Nie mogliśmy mu go dać, bo nie należy do nas – odparł Vince. – Należy do tego, kto zbada sprawę.

Pokręciła głową, nieznacznie uśmiechnięta.

– To nieuczciwe. Ty i Dave jesteście ostatnimi żyjącymi ludźmi, którzy wiedzą o wszystkim.

– Do niedawna byliśmy – rzekł Dave. – Teraz jesteś ty.

Skinęła głową, przyjmując ten subtelny komplement, po czym znowu spojrzała na Vince’a Teague’a, unosząc brwi. Po chwili zachichotał.

– Nie powiedzieliśmy mu o Colorado Kidzie, bo on by wziął na warsztat prawdziwą niewyjaśnioną tajemnicę i zrobił z niej jeden z wielu artykułów. Nie zmieniłby faktów, tylko niektóre informacje by podkreślił – na przykład teorię o substancji zwiotczającej mięśnie – a inne pozostawił w cieniu.

– Choćby to, że w przypadku Kida nie wykryto najmniejszych śladów takich substancji – dokończyła Stephanie.

– Aha, może to, może coś innego. A może napisałby to po swojemu, po prostu z tego powodu, że po paru latach w tym zawodzie człowiek nabiera zwyczaju konstruowania historii z faktów, które same z siebie nie tworzą prawdziwej historii – albo dlatego, że naczelny kazałby mu to i owo zmienić.

– Albo sam naczelny wprowadziłby zmiany, gdyby czas gonił – wtrącił Dave.

– Tak, wydawcy są z tego znani – zgodził się Vince. – W każdym razie Colorado Kid najprawdopodobniej skończyłby jako odcinek siódmy czy ósmy „Niewyjaśnionych tajemnic Nowej Anglii” Hanratty’ego; ludzie zastanawialiby się nad nim może przez kwadrans w niedzielę, a w poniedziałek wyłożyliby nim kocie kuwety.

– I już by nie był wasz – dodała Stephanie.

Dave skinął głową, ale Vince machnął ręką, jakby mówił: „Nie w tym rzecz”.

– Mógłbym się z tym pogodzić, ale taki artykuł rzuciłby fałszywe światło na człowieka, który nie żyje i nie może się bronić, a z tym się nie pogodzę. Nie muszę. – Zerknął na zegarek. – No dobrze, moi drodzy, do roboty. Ostatni niech zamknie redakcję na wszystkie zamki, dobrze?

Wyszedł. Odprowadzili go wzrokiem, a potem Dave znowu się do niej odwrócił.

– Jakieś pytania?

Parsknęła śmiechem.

– Tak ze sto, ale ani ty, ani Vince nie możecie na nie odpowiedzieć.

– Wszystko jest w porządku, dopóki nie znudzi ci się pytać. – Podeszedł do biurka, usiadł i z westchnieniem przysunął sobie stertę dokumentów.

Stephanie ruszyła do swojego kąta, ale jej wzrok padł na ciągnącą się przez całą ścianę tablicę ogłoszeń naprzeciwko zagraconego biurka Vince’a. Podeszła, żeby przyjrzeć się jej z bliska.

Lewa połowa tablicy była pełna pierwszych stron starych numerów „Islandera”, przeważnie pozółkłych i pomarszczonych. Wysoko w rogu, samotna, wisiała strona z 9 lipca 1951 roku. Tytuł głosił: **TAJEMNICZE ŚWIATŁA NAD HANCOCK PRZYCIĄGAJĄ UWAGĘ**

TYSIĘCY OSÓB. Poniżej znajdowała się fotografia autorstwa niejakiego Vincenta Teague'a – który wówczas miał zaledwie trzydzieści siedem lat, jeśli dobrze policzyła. Kontrastowe czarno-białe zdjęcie ukazywało boisko Małej Ligi z tablicą w głębi, na której widniał napis HANCOCK LUMBER ZAWSZE GÓRĄ! Wydawało się, że zostało zrobione o zmroku. Nieliczni dorośli byli wpatrzeni w niebo. Podobnie sędzia, który stał okrakiem nad bazą, z maską w prawej ręce. Jedna drużyna – pewnie goście – zbiła się w ciasną grupkę wokół trzeciej bazy, jakby ze strachu. Druga – dzieciaki w dżinsach i swetrach z napisem HANCOCK LUMBER na plecach – stała w rzędzie, również ze wzrokiem utkwionym w niebo. A mały chłopiec, miotacz, wskazywał rękawicą jeden ze świetlistych kręgów, które zawisły w górze, tuż pod chmurami, jakby chciał dotknąć tajemnicy, ściągnąć ją w dół, otworzyć jej serce i poznać całą historię.